NOWE CENY
Z PRZESYŁKĄ DO POLSKI
10 gr. Streptomycyny 2. 4. 0
3 milj. Penic. Oleistej z Prokainą 0.15. 0
5 milj. Penic. Krystal. (10 zastrz. po 500.000 j.) 1. 6. 6
wysyła
APTEKA GRABOWSKIEGO
187, Draycott Avenue, London, S.W.3.
TEL.: KENsington 0750

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

SPOŁECZNOŚĆ AKADEMICKA UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO NA OBCZYŹNIE
ALMA MATER VILNENSIS
Tom I i II.
Łącznie 288 stron druku, liczne ilustracje.
Cena kompletu 10/-, z przesyłką 11/-.
Do nabycia:
VERITAS FOUNDATION PUBL. CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VI. Nr 30 (266)
LONDYN, 27 LIPCA 1952 R.

MIECZYSŁAW JAŁOWIECKI

LUDZIE ZAPOMNIANI

Gdy myślą i sercem wracamy tęsknie do tego drogiego nam a dziwnego miasta, jakim było Wilno, gdy w pamięci naszej przesuwa się cudowna a jedyna w swej słodyczy i piękności panorama doliny wileńskiej, gdy błądzimy po krętych uliczkach wśród starych murów i wieżyc stolicy litewskiej, to pamiętajmy, że nie tylko przyroda, ale i ludzie, którzy tu wyrośli, tu żyli, tu pracowali, tu cierpieli lub się radowali, przyczynili się w znacznej mierze do wytworzenia tej osobliwej atmosfery, która ogarnia przyjezdnego i ma w sobie jakąś dziwną moc przywiązywania ludzi, a po pewnym czasie przetapiania ich w tyglu „tutejszości wileńskiej" w jakiś odrębny zespół niespotykany w innych dzielnicach Rzeczypospolitej.

Gdy po odrodzeniu Polski zaroiło się w Wilnie od przybyszów z innych dzielnic Polski, a więc Kongresówki, Wielkopolski i tak od nas odrębnej Małopolski, to ludzie ci po kilku latach pobytu w mieście przeistaczali się bezwiednie sami w wileńczuków, wsiąkali w atmosferę wileńską, a często stawali do wspólnej pracy, aż wreszcie zapominali o tym, że to właściwie nie oni stworzyli Wilno i nie oni pierwsi odkryli swoisty czar stolicy W. X. Litewskiego.

Niestety większość ludzi przybyłych tu po pierwszej wojnie światowej nie znała historii Wilna przedwojennego z epoki popowstaniowej, a nawet mało się tym interesowała.

A przecież przyszli oni na glebę nie tylko głęboko przeoraną i uprawioną, ale też obsianą nie chwastami, jeno zdrowym ziarnem przez „dawnych wilnian".

Niestety zbyt szybko i zbyt pochopnie zapomniano o tych cichych, skromnych „ludziach tutejszych", którzy w okresie ucisku popowstaniowego z niesłychanym, prawdziwie litewskim uporem i poświęceniem chronili od upadku zrąb rodzinny a jednocześnie przygotowywali fundamenta pod odbudowę minionej świetności stolicy W. X. Litewskiego, a walczyli ciężko o utrzymanie polskiej kultury łacińskiej w tym kraju.

Popełnilibyśmy wielką niesprawiedliwość dziejową, gdybyśmy pominęli milczeniem tych niedawnych jeszcze ludzi, gdybyśmy przeszli do porządku nad ich życiem i działalnością w okresie poprzedzającym odrodzenie państwa.

Rzadko kto z młodszego pokolenia lub osiadłych tu po pierwszej wojnie światowej „neofitów wileńskich" zna bodaj nazwiska tych ludzi, a jeszcze rzadziej znajdzie się ktoś, kto odmówi „Wieczne odpocznienie" za ich dusze.

Spośród żyjących jeszcze dawnych wileńczuków niewielu zapewne pamięta Wilno z doby poprzedzającej lata 1914-1919, niewielu też zapewne miało możność zajrzeć za kulisy życia tego miasta od najskromniejszego robotnika aż do magnatów litewskich, od konspirujących radykałów aż do konserwy wileńskiej, przejrzeć cały przekrój społeczności tego miasta o tak różnorodnym a jednak spoistym nawarstwieniu, społeczności tak dziwnie zgranej i związanej miłością ziemi rodzinnej a owianej duchem zawsze nieśmiertelnej idei jagiellońskiej.

Kiedyś w przyszłości historyk odgrzebując pożółkłe szpargały może zasięgnie nieco wiadomości o życiu tych niedocenianych a często odbrązowianych przez złą wolę lub niechęci klasowe, ludzi i da świadectwo prawdzie.

Jako jeden z ostatnich błąkających się jeszcze po świecie starych wileńczuków uważam za swój obowiązek wspomnieć choć w paru słowach o tych naszych „Wileńskich Ludziach Zapomnianych".

Tragiczne powstanie 1863 roku w skutkach swych uderzyło całym ostrzem w nieszczęsną Litwę i Żmudź. Szczególnie Wilno, zroszone krwią straconych na Łukiszkach Sierakowskiego, Kołyszki, ks. Mackiewicza i wielu innych ofiar powstania, a będące pod łapą rezydujących tu generał-gubernatorów w rodzaju Murawjewa, Kochanowa, Orżewskiego, było przez cały ten okres popowstaniowy wystawione na nieustanne prześladowania. Nie będę zajmował czasu przypominaniem krwawych represji i konfiskat etc., chcę jeno zaznaczyć, że w owym czasie zdawać by się mogło, że imię Polski będzie wymazane z historii Wilna, że zadeptanego obcasem moskiewskim zarzewia niepodległości żadna już siła na nowo rozpalić nie zdoła.

Tak się jednak nie stało. Spod warstwy gruzów i popiołu zagrzebane korzenie zaczęły wypuszczać nowe pędy, zaczęło kiełkować twarde ziarno litewskie i pokrywać młodą zielenią pogorzelisko. I im energiczniej działała miotła moskiewska, tym intensywniej, jakby na przekór wypadkom, rozwijało się życie polskie nie tylko intelektualne, ale i ekonomiczne w naszym kraju.

Nasz wielki wilnianin, ś.p. Józef Montwiłł zwykł był mawiać: „Pieniądze to głupstwo, dajcie mi ludzi, a pieniądze same się znajdą." I tak się stało; znaleźli się ludzie, znalazły się pieniądze, a jak grzyby po deszczu mimo przeszkód, stawianych przez rosyjską administrację, zaczęły powstawać prywatne przedsiębiorstwa, podniósł się przemysł, rzemiosło, gospodarstwo rolne, handel. Wilno zajaśniało ruchem umysłowym, zakwitła sztuka, muzyka, malarstwo.

A jak za oficjalnym szyldem rosyjskim kryły się polskie kapitały i polska praca i inicjatywa, tak i za zasłoniętymi na wieczór firankami mieszkań prywatnych kipiało polskie życie umysłowe, oświata, praca społeczna i charytatywna.

W tym to okresie ucisku Wilno i związana z nim Żmudź i Litwa wydały wielu pisarzy, uczonych, muzyków, malarzy i polityków, wreszcie działaczy społecznych.

Pisali tu i znakomity publicysta Czesław Jankowski i Ema z Jeleńskich Dmochowska i Helena Romer Ochenkowska i Zdzisław Kleszczyński i Wojciech Baranowski i Studnicki i Hipolt Korwin Milewski i Emilia Węsławska i Zahorski i Wierzyński. Malował tu Ruszczyc, Stanisław Siestrzeńcewicz, Czurlonis, Zofia z Dembowskich Romerowa. Pracował tu Bułhak odtwarzając nieznane piękno Wilna i ziemi litewskiej na kliszy fotograficznej. Budował tu Stefan Siestrzeńcewicz, Tadeusz Rostworowski.

I spytać się raczej należy, czy w istocie Wilno stało by się tym Wilnem, które swym czarem owładnęło sercem i duszą dorastającego pokolenia i ludzi później tu osiadłych a przybyłych ze stron dalekich, czy to miasto mogłoby jak feniks z popiołów podźwignąć się i zabłysnąć świetnością swego uniwersytetu, swych gmachów, swych instytucji, gdyby nie uporna a pełna ofiarnego poświęcenia działalność pokolenia „pracy organicznej"?

Przecie nie kto inny, tylko ten spokojny, wytrwały, zrównoważony a zdawałoby się mało dostępny człowiek, a w gruncie rzeczy tak dobry, tak czuły na niedole ludzkie, tak miłosierny dla biedoty, pan Józef Montwiłł był twórcą owej znamiennej w historii miasta „epoki Montwiłłowskiej". Nie kto inny, tylko on potrafił zgrupować koło siebie chętne a zdolne jednostki, czy to spośród inteligencji miejskiej, czy spośród sfer robotniczych, czy wśród ziemiaństwa i zaprzęgnąć ich do wspólnej pracy.

Jemu to Wilno zawdzięcza założenie jedynego polskiego ośrodka artystycznego za czasów generał-gubernatorskich, jakim była „Lutnia Wileńska". Ta „Lutnia", która była przedszkolem dla niejednego z wybitnych muzyków a zyskała sobie taką sławę, że żaden z wybitnych artystów w drodze do Petersburga nie omijał Wilna. Grywali tu i Paderewski i Hofman i Śliwiński i stary Kącki i Młynarski, śpiewała Zembrich Kochańska, Bolska, grał tu na skrzypcach Wierzbiłłowicz, Barcewicz.

Pan Józef był założycielem szkoły rzemiosł, stowarzyszenia stolarzy, towarzystwa opieki nad dzieckiem, towarzystwa kropli mleka. Był on twórcą kas wkładowo-pożyczkowych, które gęstą siecią opasały całą katolicką Litwę i Żmudź. Przy jego głównym współudziale powstał Wileński Bank Ziemski, pierwsza po powstaniu instytucja kredytu długoterminowego, dostępna dla katolików, instytucja, która wyciągnęła polskie mieszczaństwo i ziemiaństwo z pazurów lichwy. On był inicjatorem założenia wileńskiego banku handlowego, instytucji kredytu krótkoterminowego, on to wreszcie stworzył spółdzielnię budowlaną tzw. „kolonie Montwiłłowskie". Otworzenie kredytu pociągnęło za sobą rozwój przemysłu i handlu nie tylko w samym Wilnie, ale i na prowincji.

Powstały fabryki papy, tartaki, gorzelnie, powstały biura handlowe i techniczne, zakrojone na europejską skalę, jak np. biuro techniczne inżynierów Huszczy i Malinowskiego, o których „Plotka Wileńska" pisała, że „jeden bez drugiego jest jak Siemens bez Halskiego". Powstał Syndykat Rolniczy Wileński, biuro leśne inż. Łastowskiego, syndykat gorzelniczy.

Zaiste pan Józef Montwiłł zasłużył się krajowi dobrze.

Jeżeli mówimy o rozbudowie miasta, to wątpię, czy ludzie, którzy korzystali w Wilnie z wygodnych i nowoczesnych mieszkań, wiedzą, że to jedynie dzięki energii osobistej i inicjatywie pana Ignacego Parczewskiego z Czerwonego Dworu pod Niemenczynem Wilno dźwignęło się z prymitywu do rzędu nowocześnie zabudowanych miast. To zacny pan Ignacy z iście amerykańskim rozmachem zabudował całe ulice szeregiem domów mieszkalnych, a wśród tego wystawił kilka wielkich gmachów. W jednym z nich mieściły się za polskich już czasów biura Wileńskiej Dyrekcji Kolejowej.

Był to człowiek wielkiej prawości, lubiany i popularny wśród robotników wileńskich, dla których był pono ojcem. On to w okresie największego zastoju, spowodowanego polityką rządową rosyjską, podźwignął miasto z marazmu i zastoju budowlanego a setkom ludzi dawał zarobek to na budowach, czy w swoim wzorowo urządzonym browarze czerwonodworskim. Wraz z rozbudową miasta powstały w pobliżu miasta liczne cegielnie, fabryki dachówek, piece do wypalania wapna.

W związku z rozwojem miasta podniosły się znacznie gospodarstwa rolne w pobliżu Wilna, a szczególnie gospodarstwa mleczne. Mieliśmy już w owym czasie kilkanaście pierwszorzędnych warsztatów rolnych w pobliżu Wilna, jak Soleczniki Wagnera, jak Werki, dzierżawione przez Karola Falewicza, jak Czerwony Dwór Sienkiewicza, Lubów Śliźnia, Rzeszę Ruszczyca, Szeszołki Kończy.

Nieraz społeczeństwo nasze zmuszone było uciekać się do różnych fortelów, aby ukryć przed okiem władz prawdziwy cel. Tak n.p. Wileńskie Towarzystwo Rolnicze aż do czasu zatwierdzenia statutu przez władze rosyjskie w r. 1900 egzystowało pod firmą towarzystwa wyścigów konnych, co nie przeszkadzało urządzać doroczne wystawy rolnicze, sprowadzać nawozy sztuczne, maszyny i narzędzie rolnicze i rasowy inwentarz, wreszcie odbywać zebrania, na których mówiło się przeważnie o rolnictwie, a najmniej o wyścigach konnych.

Bywały jednak wypadki, że fortele zawiodły. Pamiętam, chodziło o duchowieństwo rzymsko-katolickie. W owym czasie względem księży stosowano surowe rygory, m.in. proboszczowie musieli na każdy swój wyjazd otrzymać zezwolenie naczelnika policji powiatowej, t.zw. „sprawnika". Sprawy zaś parafialne i publiczne nieraz wymagały osobistego porozumienia z administratorem diecezji.

Nie zapominajmy, że przez dłuższy okres stolica biskupia w Wilnie nie była obsadzona ze względu na każdorazowe obiekcje rządu rosyjskiego przy wyznaczeniu przez Stolicę Apostolską nominata. Pierwszym zatwierdzonym przez władze po tym bezkrólewiu biskupem wileńskim został w r. 1903 zacny ks. biskup Edward Ropp, o którym dewotki katedralne zwykły mówić, „że nowy pasterz choć luteranin, ale akuratny biskup."

Ale wracam do opowieści.

W celu ominięcia restrykcji umyślił dziekan święciański, ks. Burba, uzyskać świadectwo lekarskie, że ze względu na chorobę zmuszony jest co miesiąc bywać w Wilnie w klinice dla przepłukania żołądka. Na podstawie tego zaświadczenia policja wydała mu przepustkę do Wilna.

Wszystko uchodziło pomyślnie aż do czasu, kiedy inni księża poszli śladem ks. Burby. Władze gubernatorskie zmiarkowały, że zapewne za tym kryje się jakaś niebezpieczna intryga polityczna i wydały następujący zakaz: „Kapłanom Rzymsko-Katolickiej Wiary wzbrania się płukać żołądki wodą aż do czasu zmiany zarządzenia".

Nota bene ksiądz dziekan Burba był obrazem zdrowia a pod względem dobrego apetytu i przypuszczalnie trawienia chyba nie miał równych sobie w całej diecezji wileńskiej.

Miało to swoją dobrą stronę, gdyż rozporządzenie dostało się na języki towarzystwa petersburskiego, a gubernator stał się pośmiewiskiem sfer dworskich. Jakoż wkrótce ograniczenia wyjazdów księży zostały odwołane.

Zbiorowa praca społeczności wileńskiej, mająca na celu utrzymanie kultury zachodniej, języka i wiary, odbywała się w tej swoistej wileńskiej, spokojnej, zaprawionej humorem a jednocześnie ludzkiej atmosferze. Jakoś mało było wśród nas kłótni, zawiści, a ludzie nawet odmiennych przekonań potrafili zgodnie współpracować. Pan Józef Montwiłł lubił podkpiwać z socjalistów, twierdząc, że „kto do 20 lat nie był choć trochę socjalistą, ten nie miał serca, ale kto po latach 30 nim pozostał, znaczyło to, że nie miał głowy." Tym niemniej socjaliści wysoko cenili osobę pana Józefa i chętnie mu pomagali w jego pracach.

Drogie, ciche Wilno!... Gdy myślą przebiegam twe stare ulice Zamkową, Sto-Jańską, Wileńską, Zawalną, stają mi w oczach dawne, tak dobrze od dzieciństwa znane szyldy.

Oto skład obuwia Kossowskiego, naszego wileńskiego Kilińskiego, ubranego nie inaczej, jak w czamarze, który ku przerażeniu ojców odsyłał na wieś obstalowane przez żony czy córki pantofelki, wypakowane różnymi zakazanymi broszurami i odezwami narodowymi. Tuż obok widzę dystyngowany zakład mód nie mniej dystyngowanego pana Jaroszyńskiego, ubierającego wszystkie posażne panny na św. Litwie i Żmudzi, który przykładem swego sąsiada również zwykł zakładać za podszewkę różną literaturę narodową. Oto sklep kolonialny Joseph Malecki, inaczej Józefa Maleckiego, powstańca 63 roku, a nieco dalej jedyny w owym czasie zakład optyczny jego brata — Justin Malecki, również powstańca.

Widzę „Atelier Photographique Czyż Freres". Fotografowanie się w tym zakładzie należało poniekąd do obowiązków patriotycznych wilnian, bowiem Czyż był spokrewniony z Tadeuszem Kościuszką, jak i kiedy, powiedzieć nie potrafię, ale był to „vox populi". Z tego to „atelier" rozchodziły się po kraju owe, tak nam dobrze z dzieciństwa znane, mocno lśniące wizerunki naszych Litwinek, wspartych niby w zadumie o postument, na którym stał wazon sztucznych kwiatów lub siedzących na fotelu z albumem w ręku, buzią w ciup i wzrokiem utkwionym w przestrzeń a raczej w samego pana Czyża, trzymającego przez kilkanaście długich sekund w trudnym do opisania naprężeniu nerwowym ofiarę swej sztuki.

Widzę skład wyrobów tkackich hr. Anny Mohlówny, której tkane w jej zakładach rzeżyckich na Inflantach samodziały nie ustępowały szkockim tweedom lub harrisom.

Oto księgarnia Zawadzkiego, która pono przed dwudziestu laty obchodziła stuletnią rocznicę założenia, księgarnia Makowskiego, skład książek Kinkulkina, którego ojciec pamiętał Mickiewicza i Odyńca.

Tu znów krawiecki zakład Stypułkowskiego, który w porze poprzedzającej karnawał przemieniał młode niedźwiedzie litewskie w pasiastych, kraciastych lub wyfraczonych Anglików, rodem spod Wiłkomierza lub Oszmiany a do kieszeni uszytego ubrania wkładał ozdobną kartkę z życzeniami „wesołego karnawału i powodzenia w zamierzeniach sercowych". Oczywiście na kartce figurował pulchny amorek, trzymający w ręku strzałę.

Niech jeszcze wspomnę wielki sklep kolonialny Kality i Zabłockiego, wreszcie największy skład naczyń wszelkiego wyrobu i użytku Odyńca, gdzie można było nabyć wszystko, zacząwszy od saskiej filiżanki aż do... passons le mot.

Większość aptek znalazła się w rękach polskich, że wspomnę apteki p. Jana Naruszewicza, właściciela czterech przystojnych córek i pięknego Pogołonia, leżącego nad jeziorem.

Wszystkie lepsze hotele wileńskie należały również do naszych ludzi, jak hotel Georges'a, Europejski, Sokołowskiego, Nieszkowskiego.

Tego naszego handlu katolickiego nie mogły zniszczyć ani konkurencja żydowska, ani rządowe restrykcje. Wszystko tu było solidne, sumiennie odważone, w dobrym gatunku. Na próżno szukałoby się tandety.

(Dokończenie na str. 2)

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

TRENY

Oczy przymknięte w modlitwie, oczy ojczyzny spragnione
Już nie zobaczą w marzeniu tej wizji, tej srebrnej tęczy,
Gdy wargi nabrzmiałe płaczem, mówią: Pod Twoją obronę,
A serce wspominające u Ostrej Bramy klęczy.
Już nie powtórzą się chwile świetliste wśród godzin szarych,
Co hymn zachwytu śpiewały nad świata próchnem mogilnem:
„Dzięki ci, biała świątynio, zdroju nadziei i wiary,
Że jesteś, że żyjesz jeszcze, że trwasz z żyjącym Wilnem!"
A teraz dokąd z wygnania powróci myśl niedościgła?
Dokąd jak w gniazdo łaskawe stęsknionym lotem przyleci?
Gdy czarną skłębioną chmurą zakryły szatańskie skrzydła
Niebo, na którym niegdyś kapliczny krzyżyk świecił.
Komuż się w świecie pożalić? I gdzie jest świat chrześcijański?
Gdzie są krzyżowcy i tarcze, co znakiem Chrystusa płoną?
Gdy milczą rycerze załóg francuskich, włoskich, hiszpańskich,
Tobie się żalim, Bezdomna, której dom święty zburzono!
O Ostrobramska Królowo, co miłosierdziem panujesz,
Coś osłaniała przez wieki tysiące domów ojczystych,
My Tobie w sercach tysiące Twych Ostrych Bram odbudujem,
Abyś w nich głowę oparła na aureolach gwiaździstych.
Ty, coś miłością świeciła nad Polską, Rusią i Litwą,
Wspomóż prześladowanych, aby zwycięstwa dożyli
I daj nam nad zbrodniarzami zatryumfować modlitwą.
Odpuść im, Ojcze, albowiem nie wiedzą, co uczynili!

* * *

O moje miasto nieszczęśliwe,
Czy się nad tobą kto użalił,
Kiedy ci serce twoje żywe
Z kamiennej piersi wydzierali?
Czy katedralne dzwony łkały,
Czy święty Jan się zalał łzami,
Gdy proch zbrodniczy i dynamit
Rwał twoje serce na kawały?
Czy Bazyliańska strojna brama
Zadygotała, żalem zdjęta?
Czy z wiankiem róż Teresa święta
Upadła w zgrozie na kolana?
Czy nocą było to, czy świtem,
Kiedy zagrzmiała salwa silna
I w gruz rozpadło się zabite,
Zamordowane serce Wilna?
O miasto me okaleczałe,
Gdzież się obrócisz? w którą stronę? —
Złamane twoje skrzydła białe,
Twe złote oczy zagaszone,
Twoje ramiona, co tuliły
W małej uliczce naród tłumny,
Rzucono w proch — bez świec, bez trumny,
Bez wianka kwiatów i mogiły.

* * *

Myśmy nawykli, że dom nasz płonął
W czas każdej wojny;
Ale przez wieki był nam obroną
T w ó j dom spokojny.
Zawsze tam była twierdza bezpieczna
I fort obronny
I przygarniałaś, Matko Serdeczna,
Wszystkich bezdomnych.
A gdzież pójdziemy teraz i komu
Będziem się żalić?
Z Tobą na gruzach Twojego domu
Będziem płakali...

* * *

Dopuściłeś w wyrokach, Boże Niepojęty,
Aby poganin zburzył nasze Święte Świętych...
Ci, którzy kiedyś wrócą, cóż smutni zobaczą?
Czy została tam jeszcze jakaś ściana płaczu?
Jeżeli szczątek muru śmierci się obronił,
Jagiellońskie kamienie chowając w swym łonie,
I przeciw orkanowi dumnie czoło zwrócił,
Jak skała, którą Stwórca na ocean rzucił, —
To tam staną przed starym nieugiętym głazem
Polacy i Litwini w dzień powrotu — razem.
Na tej ścianie domowej, wspólnej przed wiekami
Zmieszają się łzy polskie z litewskimi łzami...
A Ty, Boże, dasz łaskę, że ten płacz nas zbawi,
Że się w nim jak śnieg stopi i waśń i nienawiść
I wydźwignięta z gruzów przez oba narody
Wyrośnie Ostra Brama miłości i zgody.

Zofia Bohdanowiczowa

Wiersze te napisała poetka na wieść o zburzeniu Ostrej Bramy.
(Red).

WŚRÓD KSIĄŻEK i CZASOPISM

NOWA KSIĄŻKA H. W. RICHTERA. W przekładzie francuskim, nakładem firmy Pierre Horay, pojawiła się druga już książka pisarza niemieckiego Hansa Wernera Richtera. Pierwsza z nich, której tytuł francuski brzmi „Les Vaincus", dała obraz klęski niemieckiej, widziany oczyma autora. Książka obecna nosi tytuł „Tombés de la main de Dieu" i opisuje przeżycia dwunastu osób różnych narodowości (jest wśród nich i Polka, studentka z Krakowa), które w końcu „spotykają się" w obozie koncentracyjnym.

Werner liczy obecnie lat 44. Pochodzi z miejscowości Bądzin (niem. Bansin), położonej na wyspie Uznam u ujścia Odry, a więc na terytorium, które należy obecnie do Polski. W młodości był komunistą i prowadził z ramienia partii działalność propagandową na terenie Pomorza szczecińskiego. Opuścił partię w 1932 r.; jak opowiada, stał później w opozycji do rządów hitlerowskich i dwukrotnie aresztowany był przez Gestapo. W czasie wojny został zmobilizowany i pod Monte Cassino wzięty do niewoli przez Amerykanów. Po wojnie powrócił do Niemiec, osiadł w Monachium i założył organizację intelektualistów pod nazwą „grupy 47". Był później także redaktorem dwóch czasopism.

Recenzent „Figaro Littéraire" André Rousseaux wyraża się z uznaniem o nowej rzeczy Richtera, którą zestawia ze znaną książką Gheorgiu „La Vingt-Cinquième Heure". Z recenzji Rousseaux wynika, że twórczość Richtera nacechowana jest pesymizmem. Wysiłki wszystkich jego bohaterów — w tym także wspomnianej Polki, uczestniczki polskiego Ruchu Oporu, — idą rozpaczliwie na marne. Stąd tytuł książki.

BILLY LAUREATEM AMBASADORÓW. Tak zwaną „nagrodę ambasadorów" (Prix des Ambassadeurs) otrzymał André Billy za swą książkę o znakomitym pisarzu francuskim ubiegłego stulecia Sainte Beuve. W skład jury wchodziło szesnastu ambasadorów francuskich i zagranicznych, mianowicie: Quinones de Leon, baron Guillaume, dr Johan Helo, Pietro Quaroni, Numan Menemencioglu, Hector de Alaya, Joaquin Fernandez, Augusto de Castro, Ouro Preto, Raminez Moreno, André François-Poncet, markiz d'Ormesson, Charles Courbin, de Saint Quentin, André de Laboulaye i hrabia de Chambrun.

PAMIĘTNIKI WOJENNE CHURCHILLA. Pod koniec lata ma się ukazać nakładem firmy Cassell piąty tom pamiętników wojennych Winstona Churchilla. Nosić on będzie tytuł „Closing the Ring" i obejmie dwanaście miesięcy: od czerwca 1943 do czerwca 1944 r. Był to okres o rozstrzygającym dla wyniku wojny znaczeniu; przyniósł on aliantom przewagę na morzach i klęskę „Luftwaffe". Tom doprowadza pamiętniki do momentu lądowania sprzymierzonych w Normandii, które opisem objęte już nie jest.

O NOWEJ KSIĄŻCE CAMUSA. Krytyk angielski J. M. Cocking wygłosił w Trzecim Programie B.B.C. odczyt o nowej książce Alberta Camusa „L'Homme Révolté". W książce tej Camus wypowiada się zarówno przeciw doktrynom i instytucjom religijnym, jak przeciw rewolucjom, w szczególności rewolucji komunistycznej. „Nasza cywilizacja, mówi Camus, pozostawiła poza sobą „sacré" chrześcijańska: pojęcie zbawienia przez łaskę zostało zastąpione przez pojęcie zbawienia przez rozwój historyczny, zbawienie w wieczności przez zbawienie w czasie, nadprzyrodzoność pionową przez nadprzyrodzoność poziomą. O ile nie chcemy uchylić się od naszych odpowiedzialności, zmuszani jesteśmy przez sytuację historyczną, w jakiej się znajdujemy, do rewolty, do zmiany; nie możemy cofnąć się wstecz do „sacré". Niebezpieczeństwo polega na tym, że myśląc tylko poziomo, a nigdy pionowo, możemy poświęcić realną teraźniejszość na rzecz hipotetycznej przyszłości, dochodząc nawet do mordowania bliźnich w imię poprawy warunków życia pokoleń jeszcze nie narodzonych".

Komunizm rosyjski, zdaniem Camusa, jest logicznym następstwem „rewolty romantycznej" która uznała, że żaden cel metafizyczny nie może usprawiedliwiać ludzkich cierpień i śmierci. Dlatego wysiłki ludzkie winny być skierowane wyłącznie ku ulżeniu doli. Świadomość śmierci jednostkowej zastąpiona być winna ideą solidarności i trwałości rodzaju ludzkiego. „W stadium późniejszym, mówi Camus, rewolta ta własnym swym impetem zapędza się za daleko. Pojawia się znowu Absolut w postaci przyszłej Utopii — i podobnie jak w dawnym porządku rzeczy ludzie mieli cierpieć i umierać dla osiągnięcia absolutu nadprzyrodzonego, tak w nowym porządku mają cierpieć i umierać dla osiągnięcia absolutu historycznego". Taki właśnie charakter ma komunizm sowiecki.

Camus konkluduje, że przyczyną złego jest ludzki „apetyt absolutu" i nieumiarkowana ambicja. Ratunek leży w powrocie do greckiego ideału miary, umiarkowania, słowem, w nowym klasycyzmie w sztuce i moralności.

Przedstawiwszy w ten sposób z grubsza poglądy Camusa, Cocking zaznacza, że w poglądach tych widoczne są mimo wszystko wpływy idej chrześcijańskich. „Jeśli Camus godzi się na zasadę, którą określa mianem „poczucia winy w rozsądnej mierze", to być może, nic jest tak daleki od doktryny grzechu pierworodnego. Jego zaś doświadczalny humanizm nie jest całkiem nie do pogodzenia z pojęciem łaski".

Być może Cocking ma rację w tych spostrzeżeniach. Nie widać jednak, by droga Camusa, tak jak przedstawia się ona obecnie, powieść go miała do chrześcijaństwa. Jasne jest także „że głoszony przez niego nowy klasycyzm" w sztuce i moralności nie zdolny jest zaspokoić potrzeb duchowych obecnych i przyszłych pokoleń ani skutecznie przeciwstawić się doktrynom „absolutu historycznego".

LATYFUNDIA NA LICYTACJI

Zmarły kilka miesięcy temu lord Leconfield pozostawił po sobie liczne majątki ziemskie o łącznej powierzchni 150.000 akrów (tj. ponad 60.000 hektarów). Wartość tych majątków wynosi prawie 2.500.000 funtów. Część ich idzie obecnie na licytację dla pokrycia tzw. „death duties" (tj. podatku spadkowego itd.). Na pierwszy ogień pójdą posiadłości lorda Leconfield w okolicy Southport w Lancashire, które obejmują 70 farm i przynoszą 10.000 funtów rocznej dzierżawy.

Latyfundiów tego rodzaju i rozmiarów jest w W. Brytanii jeszcze dużo; istnieją nadto wielkie latyfundia w miastach, w których nie tylko całe bloki domów, ale i całe dzielnice znajdują się w ręku jednego właściciela, czerpiącego z dzierżawy domów ogromne dochody.

W tych warunkach szczególnie osobliwie brzmi twierdzenie, jakie spotykamy jeszcze często w publicystyce i prasie brytyjskiej, jakoby przedwojenna Polska była klasycznym krajem latyfundiów. W rzeczywistości majątki o obszarze przekraczającym 50 hektarów zajmowały w przedwojennych granicach Państwa Polskiego nie więcej niż 14% ogółu ziemi uprawnej, a odsetek ten obniżał się jeszcze w dodatku z roku na rok.

LUDZIE ZAPOMNIANI

(Dokończenie ze str. 1)

A rzemieślnicy wileńscy? Takich szewców, stolarzy, zdunów nie było w całym kraju. Wszystko to żyło w zgodzie, uczęszczało regularnie do kościoła, należało do bractwa różańcowego, popijało też niezgorzej, a przy okazji rozdawało zakazane polskie książki, elementarze lub odezwy narodowe. Ten element rzemieślniczy był opoką, o którą rozbijały się najlepsze chęci rusyfikatorskie gubernatorów wileńskich.

Już łatwiej było poradzić z nieliczną stosunkowo inteligencją i wyłowić „kogo potrzeba" niż z „dziadźką" wileńskim, siedzącym wśród tysiąca podobnych Kaziuków, Wincuków, Franciszków lub Onuprych, a już największym postrachem administracji były, jak mnie kiedyś w szczerości (pod pijanuju ruku) wyznał gubernator wileński, nasze dewotki katedralne. Nie dawały one nikomu dmuchać sobie w kaszę, a nawet w katedrze rządziły dość energicznie. „Posuńsia w strona, nieprzeszkadzaj, bo musza baranka odbić", a „zgniła jajki ci jabki" zawsze znalazły się w pogotowiu, jeżeli zaszła potrzeba „zrobić jakaści publiczna monstrancja".

Mieszkająca w Wilnie „inteligencja" godnie podtrzymywała dawne tradycje uniwersytetu wileńskiego i ona to była głównym elementem, stojącym na straży zachowania kultury zachodniej i polskości w stolicy naszej.

W okresie gdy wydawanie pism polskich i drukowanie po polsku było zakazane w Wilnie i uważane za przestępstwo państwowe, Wilno nie mogąc same być ogniskiem, stało się jakby reflektorem odbijającym światło, płynące z Warszawy, dalekiego Krakowa i Poznania.

Ci nasi spokojni, zrównoważeni, tak na pozór lojalni adwokaci, lekarze, inżynierowie, bankowcy za kulisami pracowali usilnie, jak tylko mogli szerząc „oświaty kaganiec" na kraj cały a niejeden z nich swój czas wolny poświęcał na wykłady literatury, historii, ekonomii politycznej i korygował u młodzieży szkolnej kłamstwa szerzone przez podręczniki gimnazjalne w rodzaju sławnego podręcznika historii „Iłowajskiego".

Palestra wileńska liczyła w swym gronie wielu pierwszorzędnych a znanych adwokatów, jak Tadeusza Wróblewskiego od spraw politycznych, jak cywilistów: Restytuta Suroka, Mariana Strumiłłę, Szostakowskiego, Michała Węsławskiego, Maksa Malińskiego i cały zastęp młodych sił.

Podobnie jak adwokatura, tak i medycyna znajdowały się prawie wyłącznie w rękach polskich, że wymienię dra Tadeusza Dembowskiego, sławnego chirurga i właściciela jedynej chirurgicznej kliniki w mieście, dra Rymszę — wysokiego, szczupłego Podbipiętę, w którego zakładzie przy Zaułku Łaziennym, niejedno pokolenie autochtonów ujrzało światło dzienne, zacnego dra Witolda Węsławskiego, leczącego darmo całą wileńską biedotę, sławnego okulistę dra Hłaskę, internistów dra Minkiewicza, Zahorskiego, Maciańskiego, dra Bujwida, bakteriologa i kilku młodszych, których nazwisk dla braku miejsca nie umieszczam.

Dziwni zaiste byli ci ludzie wileńscy. Zachodziły tu jakieś całkiem niezrozumiałe dla ludzi niewtajemniczonych w naszą atmosferę paradoksy, a niejeden z obcych, zajrzawszy za kulisy życia wileńskiego, zapewne osłupiałby ze zdziwienia.

Kto by się spodziewał, że te wybrylantowane a czasem snobujące panie, które widział wieczorem na balu lub raucie, nazajutrz rano spieszyły z koszykiem w ręku i chustce na głowie gdzieś do najdalszych, najbiedniejszych zakątków Wilna, odwiedzając różnych biedaków lub chorych, że każda z tych pań miała sobie przydzielone kilka rodzin, którymi musiała się opiekować i za które była odpowiedzialna, a rygor pod tym względem był surowy, Wilno było bowiem miastem miłosiernym a stowarzyszenie św. Wincentego a Paulo prowadzone energiczną ręką pani Leszczyńskiej i p. Montwiłła. A biada pani, która by swego obowiązku zaniedbała!

Czy mógł się ktoś na chwilę spodziewać, że głównym niewidocznym obrońcą skazańców politycznych był nie kto inny, tylko gubernialny marszałek szlachty, wielki koniuszy dworu, podpora monarchii, hr. Adam Broel Plater i że pod maską wysokiego dostojnika dworu carskiego kryła się głębsza myśl a pod szytym złotem i obwieszonym orderami mundurem dworskim biło serce pełne miłości dla kraju i dobroci. Niejeden z młodych przestępców politycznych, ukrywających się przed policją, znajdował ostatnią ucieczkę w wykładanym czarnym dębem gabinecie pana Marszałka.

Czy można było się domyślić, że pani Mieczysławowa Jeleńska, owa wyrocznia opinii wileńskiej, do której każdy z nowomianowanych do Wilna gubernatorów zjawiał się z pierwszą wizytą, przewoziła w swej karecie zaprzęgniętej w parę rosłych karych karosjerów z wyliberiowanym stangretem i lokajem na koźle stosy zakazanych książek i elementarzy oraz różnych druków po licznych dworach ziemiańskich i że raz na tydzień — o zgrozo! — zbierała w swoich salonach młodzież szkolną ze starszych roczników i że na tych zebraniach odbywały się gorące, ale zawsze parlamentarne dyskusje między przedstawicielami różnych kierunków politycznych, a to w celu wdrożenia młodzieży do parlamentarnej wymiany poglądów. Na tych zebraniach stale bywał obecny młody Niedziałkowski, późniejszy przywódca socjalistów w sejmie polskim i Zdzisław Kleszczyński, wybitny publicysta i poeta.

Czyż to nie kontrasty?

Znany w rosyjskim „świecie" petersburskim ze swego dość zimnego a wyniosłego obejścia Graf von Puttkamer w Wilnie zmieniał się w najmilszego, uczynnego, pełnego jowialnego humoru Pana Wawrzyńca, człowieka o złotym sercu, śpieszącego każdemu z pomocą. Nie kto inny, tylko pan Wawrzyniec hojnie uposażył Towarzystwo Rolnicze Wileńskie, ofiarowując ze swych dóbr około stu hektarów ziemi i fundusze na założenie pierwszej w kraju stacji doświadczalnej w Biniakoniach pod Wilnem — stacji, która stała się później podwaliną utworzenia studium rolniczego na uniwersytecie im. Stefana Batorego.

Hr. Puttkamer był jednym z czołowych przedstawicieli Stronnictwa Narodowego na Wileńszczyźnie i był długoletnim posłem ziemi wileńskiej do dumy państwowej.

A ów przeciwnik polityczny Pana Wawrzyńca, ultra-ugodowieć, zgryźliwy, suchy poseł do Rady Państwa, pan Hipolit Korwin Milewski, znany ze swej bytności na uroczystości otwarcia pomnika carowej Katarzyny w Wilnie, gdy jednak nazajutrz po napadzie pod Bezdanami zjawił się do niego w Łazdunach jakiś wychudzony obdarty młodzieniec i wyraził życzenie pomówienia z Panem Hipolitem na cztery oczy, ten przyjął go w gabinecie a po dłuższej rozmowie nakarmił, napoił, ulokował w najlepszym pokoju gościnnym, a dnia następnego przebrał w swoje ubranie, zaopatrzył w walizkę i pieniądze na drogę i odwiózł go osobiście karetą zaprzężoną w czwórkę cugantów na kolej, gdzie kazał wykupić bilet pierwszej klasy i wyprawił w nieznanym kierunku czekając na peronie, nim pociąg odejdzie. Tym młodym człowiekiem był ścigany przez żandarmerię uczestnik napadu Czesław Świrski, późniejszy adiutant komendanta Piłsudskiego.

Nikt też zapewne nie powiedział w oczy Rosjanom tyle gorzkiej prawdy, co pan Hipolit w czasie swoich przemówień w Radzie Państwa; był to świetny mówca o bezgranicznej odwadze cywilnej.

Czy mam wspominać, że twórcą pierwszego teatru polskiego w Wilnie był tenże pan Hipolit i że teatr na Pohulance stanął dzięki jego osobistym środkom. Był on wydawcą pierwszego pisma polskiego w Wilnie, Kuriera Litewskiego, a incognito udzielał stypendium dla studentów Wilnian, studiujących prawo na uniwersytecie w Petersburgu.

Jakie było powszechne zdumienie, gdy zacny pan Edmund Bortkiewicz, dyrektor Wileńskiego Banku Ziemskiego, prezes Wileńskiego Syndykatu i Deputat Szlachty, filar ugodowców wileńskich, pewnego dnia stanął przed sądem okręgowym w Święcianach, będąc oskarżony wspólnie z małżonką i córkami o utrzymywanie w swym majątku Koziczynie tajnej szkółki na sto przeszło dzieciaków, w której rodzina pana Edmunda uczyła języka polskiego. Odważna mowa pana Edmunda tak wzruszyła przysięgłych i sędziów, że wszyscy zostali uniewinnieni.

Tylko na terenie wileńskim mogły zachodzić takie kontrasty. Czy gubernator wileński i kilku wyższych urzędników generał gubernatorstwa, przegrywając w klubie szlacheckim w Wilnie ze swoimi partnerami Polakami w winta lub brydża, mogli choć na chwilę przypuszczać, że jednocześnie z przegraną opłacali wysoki podatek na rzecz tajnych szkół polskich na Wileńszczyźnie. Obowiązywało bowiem wszystkich Polaków członków klubu szlacheckiego opłacanie na fundusz oświaty i naukę języka polskiego pewnego odsetka od pieniędzy wygranych w karty w klubie. Było to prawo niepisane, ale rygory były bardzo surowe, aż do bojkotu towarzyskiego włącznie.

Któż stał za kulisami tej niebezpiecznej akcji? Zapewne jakiś fanatyk polityczny? Otóż nie. Spiritus movens owej przymusowej zbiórki był nie kto inny, jak „błagonadieżnyj wo wsiech otnoszenjach", znany ze swych bardzo umiarkowanych zapatrywań, sławny brydżysta i bankowiec, zamożny ziemianin z Wileńszczyzny, filister konserwatywnej Arkonii, pan Karol Salomonowicz, ten nieco rubaszny dyrektor wileńskiego banku handlowego, który niejednego wyrwał z sieci lichwiarskiej a na widok nieszczęścia ludzkiego wzruszał się niczym tkliwa kobieta.

Głównym inicjatorem i kierownikiem zakulisowym prześladowanego przez rząd ruchu chrześcijańsko-robotniczego stał się nie jakiś działacz lewicowy, ale główny budowniczy pociągów carskich, odpowiedzialny za podróże cara i jego rodziny, członek rady ministra dróg i komunikacji i prezes pary największych towarzystw metalurgicznych i kolejowych, cieszący się łaskami u dworu, generał inżynierów wojennych, poseł ziemi wileńskiej do pierwszej dumy, Bolesław Jałowiecki.

Czy mógł się ktoś spodziewać, że Ekscelencja radca tajny, dyrektor departamentu w ministerstwie skarbu, prawa ręka ministra Wittego, pan Leonard Iwanowski, stał na czele surowo zakazanej akcji pomocy więźniom politycznym z Wileńszczyzny a w swej Lebiodce miał nieoficjalną oczywiście szkołę, w której kształcił ogrodników? Był on poza tym prezesem Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego.

Podobnych przykładów mógłbym przytoczyć wiele dziesiątków. Co znaczą te kontrasty? Dwulicowość, może wallenrodyzm? Ani jedno, ani drugie. To było tylko Wilno.

Naszym społeczeństwem na Litwie rządziło jakieś nieoparte na niczym, krom dobrej woli, „gentlemen's agreement" podziału ról. A gdy wspominam te dawne czasy, mimowolnie stają mi w oczach zacne postacie naszych posłów ziemi wileńskiej do dumy państwowej, a więc ks. biskupa Roppa, p. Mariana Chełchowskiego z Chożowa, Czesława Jankowskiego, generała B. Jałowieckiego, Wawrzyńca hr. Puttkamera, Józefa Montwiłła, Michała Węsławskiego, Stanisława Wańkowicza. Ci ludzie ze swej strony przyczynili się niemało do podniesienia naszego kraju.

Dziwne zaiste było to nasze środowisko wileńskie, ale tylko z takiego środowiska mógł wyjść ten niezrozumiały dla ludzi nieznających podłoża wileńskiego typ, pełen przewidywania i logiki a zarazem fantazji i kontradykcji, polotu a zarazem trzeźwości, ryzykownych posunięć a zarazem wielkiej ostrożności, jakim był spokrewniony z całą konserwą wileńską marszałek Józef Piłsudski.

A gdy mówimy o uniwersytecie wileńskim, to spytać należy, czy ten uniwersytet mógł się stać tym, czym był, gdyby nie charakter, gdyby nie praca tych ludzi, którzy wyrośli lub zrośli się ze środowiskiem wileńskim, gdyby nie profesorowie Zdziechowski, Kościałkowski, Jundziłł, Staniewicz, Wielhorski, Łastowski, Siestrzeńcewicz, Bułhak, Jagmin. Gdyby nie Studnicki, gdyby nie Wróblewski, ks. Kurczewski, ks. Meysztowicz, ks. Lubianiec, ks. Lewicki, gdyby nie „szubrawcy", gdyby nie wileńska konserwa, gdyby nie nasze endeki i socjaliści.

Zapewne powstałby jakiś wyższy „urzędowy" zakład naukowy, namiastka czegoś, ale nie byłby to Uniwersytet Stefana Batorego, owa Alma Mater Vilnensis, na wspomnienie której dawnym wychowańcom łzy w oczach stają a w uszach brzmi odwieczna pieśń akademicka:

„Zda się widzę miasta kształt w
pustej gdzieś ulicy,
Stoi stary, drogi gmach, mury
mej wszechnicy."

Mieczysław Jałowiecki
Arconus

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

PRZED OBRAZKIEM OSTROBRAMSKIM

Mario! w czas kornej z Tobą rozmowy
Chciałabym spytać Ciebie,
Czy nasz serdeczny lirnik wioskowy
Mieszka wraz z Tobą w niebie?

I gdy na zorzy z róż i szafirów
Stoisz — świetlista i srebrna,
Czy on zasiada u stóp Twych z lirą
Z czarodziejskiego drewna?

Czy śpiewa Tobie o sosnach giętkich,
Co nad jeziorem wyrosły,
I o tych ludziach, w ziemię wrośniętych,
Jak nadjeziorne sosny?

I o dyrwanie, co się trawami
Kłębi, jak z chmur utkany,
I o tym niebie, co lśni gwiazdami
Jak orosiałe dyrwany?

O tych jaskółkach, co się trzepocą
Niby ajery u czółen,
I o ajerach, zacichłych nocą
Jak skrzydła śpiących jaskółek?

I kiedy słuchasz pieśni wioskowej,
Jak w proste strofki się łamie,
Mario prześliczna, czy schylasz głowę
Tak samo jak w Ostrej Bramie?

Zofia Bohdanowiczowa

GERALD MANLEY HOPKINS

PSTROKATE PIĘKNO

Chwal Pana za rzecz nakrapianą —
Za niebo dwu — barw tak jak krowa łaciata;
Za róże — myszki — kropeczki pstrąga w rzędzie;
Zięb skrzydła; jesienią liść kasztana;
Skibę, ugór, fałdę; pola w paski, w kratę;
Chwal wszelkie prace, chwyt, stan, narzędzie.

Każdą rzecz sprzeczną, dziwną, cienką, nową;
Wszystko zmienne (kto wie jak?), piegate;
Słód i kwas; blask, mrok; wolno i w pędzie;
Ten mistrzem, kto piękno bez zmian zachował;
Chwal Go wszędzie.

Tłum. Wiesław Pisarczyk

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

„Czyn Katolicki". Od kilku miesięcy pod tym tytułem ukazują się materiały do prac Akcji Katolickiej na terenie Wielkiej Brytanii. W ostatnim numerze, lipcowym, w kwadransie ewangelicznym przypomniane są słowa substytuta w Sekretariacie Stanu, prałata Montiniego o roli Akcji Katolickiej: „Mamy za sobą bogatą przeszłość: mądrość Papieży, świętość budowniczych Kościoła, nawet bogactwo Objawienia i Tradycji do tego stopnia, że niekiedy mamy pokusę uważać, jakoby już wszystko zostało zrobione i dlatego można by pozostać biernym. Lecz gdy weźmie się pod uwagę potrzeby bieżące, jesteśmy zmuszeni przyznać, że znajdujemy się jeszcze w początkach, jak gdyby dotąd nic nie zostało zrobione. Do nas należy ustawienie pierwszego kamienia pod budowę wszystkiego, co utworzy przyszłą rzeczywistość chrześcijańską. Rola Akcji Katolickiej jest wyraźnie określona przez najwyższe czynniki hierarchiczne: zostaliśmy wezwani, aby t w o r z y ć K o ś c i ó ł (...) Oznacza to, że Chrystus pracuje, a my wykonujemy rolę Jego robotników i pomocników".

Caritas dla dzieci. Polski Caritas w Niemczech urządza, jak w zeszłym roku, tak i w obecnym kolonie letnie dla polskich dzieci. Z kolonii skorzysta około 200 dzieci, wśród nich także dzieci dawnej emigracji. Dzieci wyjeżdżać będą po 50 - 60 w każdym turnusie na całomiesięczny pobyt do zakładu St. Paulus Stift w Landau w Palatynacie, położonego w pięknym parku w okolicy górzystej. Nowoczesne urządzenia i opieka sióstr zakonnych zapewniają dzieciom wszystko, co potrzebne.

Walka o duszę dziecka w Polsce. Z początkiem nowego roku szkolnego 1952/53 otwarte zostaną w Warszawie nowe szkoły tak zwanego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, komunistycznej instytucji, prowadzącej w obecnej Polsce ateistyczne szkoły. W dniu 1 września otwartych ma być 7 nowych szkół podstawowych (elementarnych) i jedna szkoła jedenastoletnia (szkoła elementarna i gimnazjum). Ponadto w szkole TPD przy ulicy Zakroczymskiej zwiększona będzie liczba klas. Obecnie TPD posiada w Warszawie 30 szkół, w tym 10 średnich (jedenastoletnich). Do szkół tych uczęszczało około 14.000 dzieci i młodzieży. Oprócz normalnego programu szkolnego, przesyconego ideologią marksistowską i ateizmem, prowadzone są specjalne zajęcia pozalekcyjne „w formie zespołów artystycznych i kółek naukowych", których zadaniem jest dalsze pogłębianie ateistycznego wychowania.

Odznaczenie prałata francuskiego. W gmachu Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu ks. biskup Gawlina udekorował komandorią orderu Polonia Restituta ks. prałata Jana Ruppa, wikariusza generalnego dla cudzoziemskich misyj katolickich we Francji. Ks. prałat w przemówieniu swym zaznaczył, że „Francja i Polska są związane ze sobą nie tylko węzłami politycznymi i kulturalnymi, ale przede wszystkim moralnymi. Należąc — mówił dalej — do tych Francuzów, którzy znają wielkie postaci kultury polskiej: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Chopina, jestem przekonany, że naród polski jest przedstawicielem w oczach całej ludzkości najwyższych i niezastąpionych wartości moralnych".

700-lecie kanonizacji św. Stanisława. 17 września roku przyszłego przypada 700-letnia rocznica kanonizacji św. Stanisława biskupa i męczennika. W związku z tym ks. biskup Gawlina zwrócił się do polskiego Stowarzyszenia Historycznego w Rzymie o opracowanie trzech zagadnień: a) Kult św. Stanisława poza Polską, b) Znaczenie św. Stanisława w literaturze politycznej i społecznej, c) Historia kanonizacji św. Stanisława.

„DOKUMENTY NAUKI KOŚCIOŁA"

NOWE WYDAWNICTWO
KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
p o d r e d a k c j ą
TOMASZA DOBROWOLSKIEGO

S E R I A III.

P O P R Z E D N I O W Y D A N E:

PIUS XII: Encyklika o pewnych fałszywych poglądach zagrażających podstawom nauki katolickiej („HUMANI GENERIS".) 1/-

O S T A T N I O W Y D A N E:

PIUS XII: Dowody istnienia Boga, w świetle nowoczesnej nauki. — Przemówienie do Papieskiej Akademii Nauk 1/6

PIUS XII: Problemy moralne pożycia małżeńskiego: oświadczenie papieskie z dn. 29.10. 1951 (Do położnych) oraz z końca listopada 1951 2/-

PIUS XII: Kościół i katolicy w dziele pokoju. — Cztery przemówienia papieskie 2/-

DAWNIEJSZE OŚWIADCZENIA W SERII I i II.

— VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE —
12, Praed Mews, LONDON W.2.
Przesyłka opakowanie — 6d.

WIESŁAW PISARCZYK (Dublin)

KILKA BUDUJĄCYCH ANACHRONIZMÓW

Przed rokiem, szkicując czysto osobiste wrażenia na temat religijności irlandzkiej, po chestertonowsku nazwałem ten dziwny typ religijności „ortodoksją stosowaną". Określiłem ją jako zdrowy objaw czasów oraz najbardziej właściwą postawę katolicką na tle naszej zmaterializowanej epoki. W rozpaczliwym poszukiwaniu przyczyn tego niezrozumiałego dla mnie zjawiska zwróciłem uwagę, że, pomimo złożoności problemu, wiele rzeczy wyjaśnia oraz naświetla oddziaływanie i wpływ świetnie zorganizowanego duchowieństwa. Określenie „zorganizowane duchowieństwo" wydaje mi się dzisiaj zbyt niebezpiecznym postawieniem bardzo prostej sprawy. Jeżeli powtarzam je teraz, to dla wyjaśnienia, iż nigdy w tym wypadku nie myślałem o jakimś planowym systemie ujętym w twarde karby tajnych czy jawnych paragrafów, które działają jakby za naciśnięciem niewidzialnego, magicznego guzika organizacyjnego. Nigdy nie myślałem, że dusza tej nieistniejącej organizacji zamknięta jest w jakieś uchwytne ciało organizacyjne. Gdyby tak było, nie miałbym najmniejszych trudności z napisaniem niniejszego artykułu. Nie pociłbym się, błąkając się po omacku w gęstwinie zaledwie wyczuwalnych spraw.

I żeby, dla uniknięcia możliwych nieporozumień, porozumieć się z czytelnikiem, muszę zagadnienie postawić w następujący sposób: oddziaływanie duchowieństwa jest dla mnie najbardziej konkretną formą wychowania. Sprawę ujmuję w ten sposób nie dlatego, że nigdy nie miałem zamiaru zostać księdzem, ale ponieważ jestem nauczycielem. Ten wzgląd zaciążył prawdopodobnie na ukształtowaniu się poglądu, że wyniki wychowania nie są nigdy wynikami pracy nauczyciela, ale rezultatem współpracy nauczyciela i ucznia. Postawa ucznia jest nie mniej ważnym czynnikiem, aniżeli zasób najbardziej atrakcyjnych środków, stosowanych przez pedagoga.

W naszym wypadku postawa katolika irlandzkiego jest czynna, chętna oraz przyjazna. Nic też dziwnego, że wyniki wychowania w duchu katolickim są tutaj o wiele bardziej widoczne, aniżeli wszędzie tam, gdzie duszpasterz musi walczyć z przeciwnościami, gdzie musi wciąż budować od początku i usuwać tak groźne często następstwa wtórnego analfabetyzmu w dziedzinie katolickiej wiary, gdzie na gruzach przeróżnych kościołów musi wciąż od nowa, jak nieszczęsny Syzyf, kłaść niezmordowanie podwaliny pod budowę jednej świątyni. Wydaje mi się, iż praca duszpasterza irlandzkiego dawno wyszła z misyjnego stadium i stała się dzisiaj szczęśliwym kształtowaniem owocu, który wyhodowały stulecia cierpliwych i skrzętnych misjonarzy ze znaku świętego Patryka.

Dziś mogę nieco pewniej mówić na ten temat, niż przed rokiem. Mogę tym bardziej, że w ciągu tego czasu utrwaliłem sobie pewne spostrzeżenia oraz wyrobiłem sobie sąd o rzeczach, które kiedyś nie były jeszcze zbyt jasne. Których czasami wcale nie widziałem. Nie znaczy to bynajmniej, że dzisiaj czuję się dostatecznie przygotowany, żeby w sposób autorytatywny wydawać sądy o roli duszpasterstwa irlandzkiego. To, co powiem, jest jedynie garścią doraźnych wrażeń. Na przykładzie Irlandii chcę unaocznić, jak układa się stosunek duchowieństwa katolickiego do tych wszystkich spraw, z którymi duszpasterz współczesny musi się nieuchronnie stykać, działając wewnątrz skomplikowanej rzeczywistości ludzkiej. Nie będzie mi tutaj chodzić o jakieś wyznaczanie granicy czy zakresu tego oddziaływania, ale o proste stwierdzenie samego faktu współżycia duchowieństwa za społecznością katolicką poza Kościołem, gdzie przecież leży nieogarnione pole pracy. Są zagadnienia, które jakże często o miedzę tylko leżą od murów Kościoła. Są zagadnienia, które tę miedzę bezkompromisowo przekraczają. Jak kupczyki handlujący na stopniach ołtarzy. W codziennych sprawach życia jest przecież zawsze nieuniknione podłoże natury moralnej. Są problemy wychowania ogólnego, na które duszpasterz nie może patrzyć obojętnie, a w szczególności wtedy, kiedy jest ono, ze źródła i z ducha, obce temu, co jest celem idei wychowania chrześcijańskiego. Nie chodzi tutaj, broń Boże, o prymat Kościoła przed państwem, ale o pierwszeństwo idei chrześcijańskiej przed naporem przeciwnych sił. O prymat kultury przed barbarzyństwem. Nie o władzę nad państwem, ale o rząd dusz.

Fakt, że duchowieństwo irlandzkie jest niesłychanie wpływowym czynnikiem wewnątrz organizacji społeczno-państwowej, ten fakt nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nawet powierzchowny obserwator miejscowych stosunków rychło dojdzie do przekonania, że rola duszpasterstwa katolickiego w tym dziwnym kraju jest zjawiskiem bardzo wyjątkowym.

Oto klasyczny, najbardziej charakterystyczny przykład. Wyjątkowa ilustracja, nie do pomyślenia w wielu powojennych społeczeństwach:

W ubiegłym roku parlament irlandzki oraz cała prasa krajowa stały się nieoczekiwanie terenem zaciekłych starć w wyniku kontrowersji na temat śmiałego projektu ustawy o opiece nad matką i dzieckiem. Sprawa miała dwa zasadnicze aspekty: polityczny oraz społeczny. Inicjatorem był młody, ambitny oraz niezwykle popularny minister zdrowia. Sama idea w zasadzie i z pozorów zdrowa, posiadała jednak zbyt wiele niebezpiecznych rysów, grożąc przede wszystkim swobodzie oraz anonimowości praktyki lekarskiej i niosąc w zarodku potencjalne niebezpieczeństwo „uświadamiania macierzyńskiego", ze wszystkimi groźnymi następstwami tej nowatorskiej procedury uspołecznionego czy upaństwowionego lecznictwa. Ze względu na osobę popularnego projektodawcy, z uwagi na jego nie ulegające wątpliwości przekonania katolickie, projekt cieszył się wcale nie cichą sympatią dość dużej części społeczeństwa katolickiego.

Nagle w tę lokalną burzę rozpalonych namiętności politycznych pada nieoczekiwany grom. Z nieoczekiwanej strony. Z jasnego nieba. I wszystko cichnie na chwilę. Bo oto w toku dyskusji parlamentarnej wychodzi na jaw, że władze Kościoła katolickiego były lojalnie informowane o zasadzie i szczegółach projektu w jego stadium przygotowawczym. I że, ze względu na wymienione powyżej potencjalne niebezpieczeństwa, nigdy nie wyraziły swej zgody na projekt. Mimo że minister osobiście fatygował się z wizytą do głowy episkopatu katolickiego. Mimo iż rząd pośredniczył pojednawczo pomiędzy episkopatem a ministrem. Kościół stał niewzruszenie na stanowisku swoich zasad i milczał. Ujawnienie tych pozakulisowych niedyskrecji położyło kres projektowi. Wtedy dopiero episkopat potwierdził prawdziwość owych sensacyjnych enuncjacyj parlamentarnych oraz oficjalnie oświadczył, że mimo najlepszej woli nie może dać swego „placet" na kilka punktów projektowanej ustawy. Było to stwierdzenie stanowiska. Nie presja. Presja wyszła ze strony społeczeństwa katolickiego. Minister ustąpił. Zachwiał się rząd i w nowych wyborach... upadł. Protestancki odłam społeczeństwa podniósł niesamowitą wrzawę. Stanął w obronie demokratycznych przywilejów oraz katolickiego ministra. Posypały się z tej strony bojowe pokrzyki. „Kto tutaj u nas właściwie rządzi? My czy biskupi katoliccy? Seminarium duchowne w Maynooth czy parlament w Leinster House?!"

Na „placu boju" ostał się Kościół katolicki, mocniejszy w swym autorytecie o jedną wygraną sprawę. Nie wiem, czy na mapie dzisiejszego powojennego świata można by znaleźć kraj, gdzie powaga opinii Kościoła posiadałaby ten sam ciężar, co w Irlandii. Ze świecą trzeba byłoby go szukać. Rzecz nie w tym, czy Kościół katolicki interweniował, czy też nie interweniował. Sedno sprawy w tym, że zdanie episkopatu katolickiego zostało bez zastrzeżeń przyjęte i zrozumiane jako ostateczna decyzja. W postawie katolickiego społeczeństwa nie było bynajmniej ślepego, bezkrytycznego poddania się orzeczeniu episkopatu, ale pełne zrozumienie stanowiska Kościoła, który w tym drażliwym momencie miał odwagę wystąpić w obronie katolickiego życia. katolickich idei społecznych i moralnych. Those from across the Channel, jak się tutaj nazywa potocznie Anglików, patrzyli na te rozgrywki tradycyjnie nieprzychylnym okiem. Suche sprawozdania prasowe londyńskich dzienników nie pozostawiały wątpliwości, że reakcja szerokich rzesz społeczeństwa katolickiego na opinię władz duchownych była reakcją możliwą jedynie w anachronicznej, papistowskiej Irlandii. Trudno, żeby bevanizujące czynniki mogły być innego zdania.

Dziedziną, w której irlandzki Kościół katolicki występuje oficjalnie jako uznany kierownik — jest irlandzkie szkolnictwo powszechne oraz, w zasadzie i praktyce, ogólnokształcące szkolnictwo średnie. Jeżeli idzie o szkolnictwo powszechne, czyli t.zw. national education, prerogatywy duchowieństwa ujęte są w formę pewnego rodzaju umowy pomiędzy nauczycielstwem świeckim z jednej strony, a przedstawicielstwem duchowieństwa z drugiej strony. W myśl tej umowy, pracodawcą jest... Kościół! Brzmi to dla nas tym dziwniej, że national schools uważa się tutaj za instytucję państwową z tego tytułu, że Ministry of Education płaci nauczycielskie pensje! Ale płaci je każdego pierwszego w miesiącu na formalny wniosek, podpisany przez duchownego przełożonego szkoły. Ksiądz proboszcz jest bowiem nominalnym i formalnym przełożonym. School-manager, w odróżnieniu od świeckiego kierownika szkoły, headmaster. Do obowiązków managera należy utrzymanie szkoły, budowa nowych szkół z funduszów społecznych czy państwowych, jego wniosek jest decydujący w tak zasadniczych sprawach jak sprawy personalne. Oczywiście ministerstwo edukacji kontroluje metodę oraz wyniki nauczania przez swoich inspektorów. Praktyka wykazała, że tak pomyślana współpraca przynosi wcale dobre rezultaty, a nie przynosi ujmy ani rodzicom, ani państwu, ani doskonale zorganizowanemu związkowi nauczycielstwa szkół powszechnych. Praktycznie biorąc, tarcia na tle tej współpracy nie istnieją. W rzeczywistości ksiądz-manager zostawia kierownikowi szkoły bardzo wiele swobody i samodzielności oraz inicjatywy w wykonywaniu jego zadań. Rzadkie wypadki personalnych nieporozumień między managerem a kierownikiem reguluje dodatkowa umowa w Maynooth, która przewiduje, że biskup jest ostateczną instancją odwoławczą przy załatwianiu tego rodzaju qui-pro-quo. Do niedawna instancją tą był sam ksiądz-manager! On sam regulował kwestie sporne między sobą a kierownikiem szkoły! Co za olbrzymi postęp! — wykrzyknąłby złośliwiec. A jednak ludzie tutaj czują się wcale zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy. Do głowy nikomu nie przyszło, żeby przyczyn tego dziwnego anachronizmu szukać w fakcie, że kraj wyspiarski oblany jest dokoła wodą, która broni dostępu wszelkim nowinkom z szerokiego świata! Grunt, że wszyscy czują się z tym dobrze.

Czują się dobrze, mimo iż w szkolnictwie średnim nie dzieje się wcale lepiej. Prawdę mówiąc, jest jeszcze gorzej, gdyż z reguły szkoły średnie typu ogólnokształcącego prowadzone są wyłącznie przez duchowieństwo świeckie lub zakonne. Ta monopolizacja nie oznacza bynajmniej, że państwo nie posiada kontrolującego wglądu. Nie ulega wątpliwości, że duchowieństwo, stanowiące w tym wypadku duży procent personelu nauczającego, pracuje w warunkach korzystnych do wychowania w duchu instytucji, przez siebie reprezentowanej. Ale i tutaj nawet święty nie poradzi. Ludzie są perfectly happy, że mogą dzieci posyłać do tego rodzaju szkół. Są nawet z tego dumni. Wyglądają jak jakieś przedziwne snoby, którym koniecznie zależy na tym, żeby ich dzieci wychowywał jakiś tam jezuita! I co to potem z tego wszystkiego wyrośnie? Ne wiem, co tam z tego wyrośnie, ale milczkiem muszę wyznać, że całe to wychowanie jakoś dziwnie nie kiśnie w zaśniedziałych formach przedwiecznej rutyny. Nie ma tradycyjnej retoryki ani żadnych oślich ławek. Uczą przyrody, geografii, chemii, fizyki. Jest teatr, opera, tańce, rugby, cricket. Nawet zakonnice w swoich szkołach uczą gimnastyki systemem szwedzkim. Mają boiska tenisowe, hokejowe i takie, których nie ma w wielu państwowych szkołach. Że tam, w tej sprzyjającej atmosferze, znajdzie się sporo okazyj do powołań kapłańskich, misjonarskich czy też do nowicjatu zakonnego — to nie dziwota. Ale ze szkół tych wychodzi również spora garść aktorów czy aktorek filmowych. I nikt się tutaj nie dziwi, jeżeli jakaś absolwentka dublińskiego zakładu Sacred Heart wyląduje ostatecznie jako baletnica w Hollywood. Nie będzie to wcale sprzeczne z zamierzanymi wynikami nauczania.

Kościół jest, oczywiście, dumny z tej misji wychowywania. Katolicki i protestancki. „Niewiele krajów posiada system wychowania, oparty na zdrowszych zasadach aniżeli nasze państwo", powiedział protestancki biskup B. McNeil Boyd, otwierając kilka dni temu nową szkołę. I tak kontynuował: „To państwo słusznie odrzuciło ideę wychowania oddzielnego od chrześcijańskiego kształcenia. Zrobiło wszystko, ażeby dzieci wychowywały się w szkołach kontrolowanych przez Kościół, do którego przynależą. Postępując w ten sposób państwo uznało prawdę, że jeżeli nie kształcimy dzieci w atmosferze lojalności w stosunku do wiary, w której się wychowały, nie możemy oczekiwać ich lojalności w stosunku do obowiązków, jakie nakłada na nie obywatelstwo".

Tym przemówieniem wbiliśmy gwóźdź do trumny wychowania opartego na nowoczesnej inicjatywie państwa. Zdaję sobie sprawę, że niejeden z cierpliwych czytelników głową będzie potrząsał z niedowierzaniem, czytając te paradoksalne anachronizmy dwudziestego stulecia.

Z czterech irlandzkich uniwersytetów, trzy posiadają wyraźne oblicze katolickie: Cork, Galway oraz National University w Dublinie. Stołeczne Trinity College jest, z ducha i tradycji, instytucją protestancką. Katolickie uczelnie nie są bynajmniej szkołami „wyznaniowymi". Każdy może się na nich matrykulować. Ale żaden „szanujący się" protestant nie będzie na nich studiował. Jak gdyby dla skompensowania tego jednostronnego nastawienia, katolicki kandydat do Trinity powinien — według miejscowych zarządzeń — otrzymać formalne „nihil obstat" od katolickiej kurii arcybiskupiej w Dublinie! Znowu biskup.

Nie koniec na tych „niedorzecznościach". W szkole i poza szkołą duchowieństwo katolickie propaguje sport. Patronuje czystej kulturze fizycznej. I żeby to chociaż było patronowanie takiemu sportowi jak tennis. Gdzie tam! Toż to jest przecież propagowanie brutalnego rugby i jeszcze brutalniejszego „gaelic football" czy też t.zw. „hurling", który wygląda jak krwawa wojna twardymi patykami o twardą piłkę i o twarde kości. Na doroczne zawody o mistrzostwo gaelic football czy hurling do stu tysięcy Irlandczyków zjeżdża się do nieszczęsnego Dublina. Kto nie zmieścił się na boisku Croke Park, ten słucha uroczystości przy głośniku radiowym. Manifestację zaczyna orkiestra irlandzkich kobziarzy w paradnych kostiumach. Na trybunie zasiada prezydent, przedstawiciele rządu, opozycji oraz przedstawiciele episkopatu katolickiego. Mecz rozpoczyna tradycyjne podrzucenie piłki przez... biskupa. Prezydent i rząd siedzą na trybunach i biją brawo. A sto tysięcy gardeł krzyczy z uniesienia.

Rugby panuje niepodzielnie w szkołach średnich większych ośrodków miejskich. Księża organizują najzdrowsze współzawodnictwo młodzieży. Drużyna rugby jest dumą i pieszczoszkiem zakładu. I oczkiem w głowie zapalonej braci duchownej, która na rozgrywkach finałowych na Lansdowne Road zasiada gęsto trybuny dokładnie po stronie tej części, którą oblepiła macierzysta szkoła. Dosłownie pod łomotem szkolnych proporczyków i wśród piekielnego wrzasku zakładu, który stawił się tutaj w swym młodocianym in corpore. Grono duchowne także in corpore. Usutannieni widzowie przeżywają te same wstrząsy, co niedorośli widzowie. Nie krzyczą wprawdzie, ale z niepokojem patrzą na zegarki. Czy chłopcy z Belvedere College zdołają do końca utrzymać zdobytą przewagę?

Na ten temat słyszałem kiedyś dowcipną anegdotę lokalną. Oto jedna z krążących wersyj: Zdenerwowany Father O'Mahony umiera na udar serca w czasie meczu swej drużyny szkolnej. Tuż przed połową gry. Przy denerwującym stanie meczu 6 : 5 dla swej drużyny. Idzie prosto do nieba. Bo dobry był. — Pod koniec tego samego meczu na udar serca umiera poczciwy Mr. Mcloughlin, spensjonowany adwokat, stary sympatyk chłopców z Belvedere. U wrót niebieskich czeka na niego dobry Father O'Mahony i ziemską swoją żywością wita go nerwowym pytaniem: „Prędko! Jaki był stan meczu, kiedy pan opuszczał boisko na Lansdowne Road?"

Żarty na bok. Chociaż nie na każdym boisku szkolnym można je usłyszeć. Chociaż..., ale prawda, przypominam sobie, że raz, na naszych nadwiślańskich Błoniach, w najbardziej ustronnym miejscu, po cichości graliśmy w piłkę nożną z księdzem profesorem od polskiego w ósmej klasie. Ksiądz był młody i grał w podwiniętej sutannie. Na beku, oczywiście, żeby się nie męczył lataniem. Strzelił dwie bramki z karnego. Potem wszystkich „puścił" na maturze. Mecz ten trzymaliśmy w zapieczętowanej tajemnicy, żeby nie dowiedzieli się w domu. I żeby nie doszło do księdza biskupa.

Poza patronowaniem brutalnej rugby, księża irlandzcy patronują także ogólnonarodowym zawodom w tańcu, śpiewie, muzyce. T.zw. Feis. Patronują hodowli bydła oraz rolniczym zawodom w orce pługiem konnym lub traktorowym. Takich sporadycznych wypadków jest mnóstwo. Jest, na koniec, taki wypadek:

W którąś niedzielę, po dłuższym niewidzeniu się, odwiedzam swoich znajomych na wsi. I powiadam do Johna, że przecież moglibyśmy, starym zwyczajem, pójść do Walsha na szklankę piwa. „Sorry, powiada John, we can't". No bo, powiada, niedawno temu biskup Meath strasznie się zgniewał i zabronił sprzedawać alkoholu w niedziele i święta. Abyś dzień święty święcił. No i dlatego nie można. A przecież nie wypada jechać na piwo do sąsiedniej diecezji.

Rzeczywiście, nie wypada.

Wiesław Pisarczyk



KS. PRAŁAT WŁ. STANISZEWSKI ODPRAWIA MSZĘ ŚW. W KOŚCIELE POLSKIM W LONDYNIE

KATOLICKIE DNI POLSKIEGO LONDYNU

Lipiec 1952 zaznaczył się w kronice polskiego Londynu wzmożonym tętnem życia katolickiego.

W dniach 12 i 13 lipca odbyły się uroczystości, związane z 25-leciem święceń kapłańskich Ks. Prałata Władysława Staniszewskiego, Rektora Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii i Wikariusza Delegata. Na uroczystości te przybył J. E. Ks. Biskup dr Józef Gawlina, Protektor Uchodźstwa Polskiego. Wziął on udział w akademii jako pierwszy mówca. Był obecny na Mszy św. celebrowanej przez Jubilata w Brompton Oratory oraz wygłosił przemówienie na śniadaniu ku czci Jubilata w „Ognisku Polskim". Ks. Biskup Gawlina przywiózł również dla Ks. Staniszewskiego gratulacje Ojca św.

Oprócz wizyt o charakterze oficjalnym i licznych konferencji Ks. Biskup odprawił trzydniowe rekolekcje dla duchowieństwa polskiego w Anglii, Walii i Szkocji, w zakładzie sióstr nazaretanek w Pitsford. W niedzielę dnia 20 lipca odprawił Ks. Biskup Mszę św. pontyfikalną w Kościele Polskim przy Devonia Road.

Program jubileuszu święceń kapłańskich Ks. Prałata Staniszewskiego obejmował akademię w Westminster Cathedral Hall, na którą tłumnie przybyli Polacy londyńcy. Obchód cechowała serdeczność, bezpośredniość i wysoki poziom zarówno wygłoszonych przemówień, jak i występów artystycznych. Przewodniczył prezes Komitetu Jubileuszowego, ambasador E. Raczyński. Na akademię przybył Prezydent R.P. A. Zaleski oraz przedstawiciele życia politycznego, społecznego i kulturalnego na emigracji.

Przemówienia wygłosili: J. E. Ks. Biskup Gawlina i p. Leon Czosnowski w imieniu Akcji Katolickiej. P. Jundziłł Baliński odczytał teksty adresów od społeczeństwa polskiego w W. Brytanii i od Związku Pisarzy Polskich oraz wręczył Jubilatowi czek na 300 £, jako pierwszą część kwoty zebranej przez Polaków na dokończenie ozdabiania Kościoła Polskiego w Londynie.

W części artystycznej Chór im. Fr. Chopina pod dyrekcją p. Z. Gedla odśpiewał szereg pieśni, wśród nich „Gaude Mater Polonia" i towarzyszył solistce, p. Marianowi Nowakowskiemu. Wykonał on ponadto sam kilka aryj i pieśni na wysokim poziomie artystycznym.

P. Jadwiga Domańska recytowała utwory polskiej poezji religijnej i przygotowała zbiorową recytację dzieci, przebranych za kwiaty polskie.

Wzruszony Jubilat dziękował zebranym, przypominając najdroższą pamiątkę, jaką wywiózł z ojczyzny, to jest słowa modlitwy, wyuczonej przez Matkę.

Nazajutrz, w niedzielę 13 lipca odbyło się w Brompton Oratory uroczyste nabożeństwo, w którym uczestniczył w otoczeniu duchowieństwa Ks. Biskup Gawlina, a które odprawił Jubilat w asyście księży: Ks. Infułata Michalskiego — archidiakon, Ks. mgr. Sołowieja — diakon i Ks. prob. Dryżałowskiego — subdiakon. Kazanie wygłosił superior księży marianów z Hereford, o. Józef Jarzębowski, pienia religijne wykonał chór męski pod dyrekcją p. Gedla.

Po Mszy św. odbyło się w „Ognisku Polskim" śniadanie ku czci Jubilata w czasie którego przemówienia wygłosili: J. E. Ks. Biskup, konsul dr Czesław Poznański, Mrs. Woodruf, żona redaktora „The Tablet" (w imieniu katolików brytyjskich). Odpowiadał Jubilat.

* * *

O odczytach p. Marii Winowskiej napiszemy w następnym numerze.

WYDAWNICTWA STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

Ceny zniżone od 25 do 70 proc.

Adam Mickiewicz: POEZJE WYBRANE, przedmowa **Jana Lechonia**, wybór **Wiktora Weintrauba**	3/6
Adam Mickiewicz: SŁOWA DO EMIGRACJI i SŁOWA DO EUROPY, wybór publicystyki w opracowaniu **Tymona Terleckiego**	3/6
Bolesław Prus: NOWELE WARSZAWSKIE, przedmowa **Wacława Grubińskiego**, wybór i posłowie **Marii Danilewiczowej**	7/6
Bolesław Leśmian: ŁĄKA i TRAKTAT O POEZJI	1/6
John Keats: ODY, przekład **Stanisława Balińskiego**	2/6
Kazimierz Wierzyński: KRZYŻE i MIECZE	3/6
Marian Hemar: LATA LONDYŃSKIE	1/-
Tymon Terlecki: POLSKA A ZACHÓD. Próba syntezy (trzy wydania)	1/-
Stanisław Baliński: WIERSZE ZEBRANE (1927—1947)	7/6
Wacław Grubiński: O LITERATURZE I LITERATACH (zbiór szkiców)	4/6
Antoni Bogusławski: STRUNY NA DRZEWACH (poezje)	1/-
LITERATURA A POLITYKA. Wolne opinie (**Wacław Grubiński, Józef Kisielewski, Marian Emil Rojek, Wiktor Sukiennicki, Jan Ulatowski, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska**)	-/6
Wacław Grubiński: MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM (wspomnienia z Rosji)	9/6
Ignacy Wieniewski: POWRÓT NA VIA APPIA, studia i szkice z przedmową **Tymona Terleckiego**	5/6

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach polskich.

SKŁAD GŁÓWNY:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 lipca 1952.

LISTY DO REDAKCJI

RELIGIA I DYKTATURA

W HISZPANII

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie dysponując przysłowiową „wołową skórą", odpowiem tylko na niektóre zarzuty, jakie postawił mi p. Jędrzej Giertych (ŻYCIE nr 257) w związku z moim artykułem o kryzysie religijnym w Hiszpanii (ŻYCIE nr 252). Zresztą część tych zarzutów odparł już p. Florian Śmieja (ŻYCIE nr 259).

Oskarża mnie p. Jędrzej Giertych o gołosłowność, gdy twierdzę, że 80% Hiszpanów nienawidzi generała Franco. Naturalnie, cyfrę tę można kwestionować z punktu widzenia formalnego, jako że w Hiszpanii nie było wyborów ani badań Gallupa. Ale dziesiątki zasługujących na zaufanie dziennikarzy, którzy odwiedzili ten kraj po wojnie, ustala liczbę przeciwników reżymu na 70 do 90%. Mam tu na myśli przede wszystkim dziennikarzy katolickich i umiarkowanych, a spośród lewicowców najprawdopodobniejszą według mnie ocenę dał Serge Groussard w swej książce „Solitude espagnole". Po przeprowadzeniu ankiety na własną rękę wśród 400 osób z różnych środowisk i miejscowości obliczył, że przeciwnicy Francji wynoszą 80 procent, zwolennicy 8 procent a obojętni — 12 procent. Tę statystykę potwierdzałby w pewnym stopniu referat arcybiskupa Walencji z jesieni ubiegłego roku, który po przeprowadzeniu skrupulatnych badań wśród robotników swej diecezji ogłosił, że „robotnik pragnie zmiany, nie wiedząc dobrze jakiej, niby chory chcący wyjść z choroby. Właściciel i bogaczy uważa za przeszkodę, a armię i Kościół za ich podporę i jest przeciwko nim w takiej kolejności: właściciele, bogacze, Kościół — których się nie boi — i armia, której się boi". Wreszcie, cyfrę 90%, moim zdaniem przesadzoną, podał mi osobiście pewien falangista w Andaluzji.

Przejdźmy do innych spraw. P. Jędrzej Giertych charakteryzuje wojnę domową w ten sposób:

„Dyktatura hiszpańska, narodziła się z rozpaczy, z rozpaczliwego porywu powstańczego katolików hiszpańskich przeciwko toczącej się lawinie bolszewickiej rewolucji. To tylko z wygodnego dystansu Londynu można mówić o „republice hiszpańskiej"; w istocie, ta republika w chwili wybuchu narodowego powstania dawno już wyszła z fazy kiereńszczyzny i była już w fazie, gdy krew (nie tylko burżujów, ale i księży, zakonnic, chłopów katolików) lała się strumieniami i gdy kościoły płonęły setkami. Co mieli katolicy hiszpańscy robić? Nie sprzeciwiać się złu i czekać z założonymi rękami, aż ich wyrżną i aż z Hiszpanii stanie się to, co z Rosją, albo to, co dziś dzieje się z Chinami? Katolicy hiszpańscy zrobili jedyną rzecz rozsądną: chwycili za broń."

W tych kilku zdaniach kryją się błędy ogromnego kalibru. To najpierw powstańcy chwycili za broń, a potem i właśnie w następstwie rebelii polała się strumieniami krew księży i zapłonęły setkami kościoły. Przestawianie kolejności tych faktów to nie tylko kwestia formalnej chronologii. Przed wojną domową miały miejsce sporadyczne napady na duchownych i świątynie, nie było to jednak zjawisko stałe czy powszechne. Można republice zarzucać, że nie zdobyła się na dość energii, aby tym ekscesom położyć kres, można zarzucać, że niektóre partie republikańskie podtrzymywały nastroje anty-klerykalne, ale i to wszystko. Do masakry doszło w pierwszej fazie wojny, kiedy rząd znalazł się bez policji, bo prawie cała Guardia Civil przeszła na stronę rebeliantów i bez armii, bo tylko nieliczni oficerowie zawodowi (spośród 200 generałów zaledwie 9) dochowało wierności republice. Gdyby te czynniki a wraz z nimi inne czynniki prawicowe nie osłabiały przed wojną republiki przez knucie spisków, a potem nie wznieciły powstania, na pewno nie doszłoby do tej straszliwej rzezi kapłanów. Nie można też nie postawić sobie pytania, dlaczego to tłum hiszpański gorzał taką nienawiścią do duchowieństwa. Napewno nie dlatego, że księża odprawiali Mszę św., ale dlatego, że w jego oczach kler uchodził — jak to także i dziś stwierdza arcybiskup Walencji — za podporę i sprzymierzeńca tych wszystkich sił, które stanowiły przeszkodę na drodze do postępu społecznego. Tragiczna masakra księży i masowe podpalania kościołów były tylko w małym stopniu aktem walki z religią, a przede wszystkim stanowiły objaw anty-klerykalizmu, miały charakter walki społeczno-politycznej. Ustalenie odpowiedzialności za tę rzeź nie jest sprawą tak prostą, jak to się na pozór wydaje.

Nie wiele wspólnego z prawdą historyczną ma także twierdzenie p. Giertycha o „toczącej się lawinie bolszewickiej rewolucji" i o tym jakoby republika „w chwili wybuchu narodowego powstania dawno już wyszła z fazy kiereńszczyzny". Natomiast prawdą historyczną jest, że w ostatnim a jednocześnie najbardziej lewicowym parlamencie republikańskim na 473 deputowanych było zaledwie 16 komunistów, t.zn. 3 i pół%. Wzrost sił komunistycznych nastąpił dopiero po i w następstwie wybuchu powstania. Dziś w szeregach emigracji rzekomej kiereńszczyźnie, w emigracyjnym „rządzie hiszpańskim i w emigracyjnym rządzie baskijskim nie ma ani jednego ministra komunistycznego. Uzasadnienie potrzeby powstania niebezpieczeństwem komunistycznym oznacza tyle, co przyznanie, że powstanie nie było potrzebne.

Trzeci błąd p. Giertycha to uporczywe stawianie znaku równości między powstańcami a katolikami. Za rebelią opowiedziały się takie czynniki, jak: generalicja i korpus oficerów zawodowych, policja, Guardia Civil, karliści, monarchiści, Falanga, konserwatyści, posiadacze ziemscy i kapitaliści. W skład tych ugrupowań wchodzili ludzie wyznania rzymsko-katolickiego, ale do szeregów generała Franco przystępowali nie dla obrony religii, choć i to leżało im na sercu, lecz nade wszystko dla zrealizowania swych ambicji politycznych. Np. w programie oficjalnym Falangi, składającym się z 36 punktów, wzmiankę o religii znajdujemy dopiero w punkcie 34. Wojna domowa w Hiszpanii była nie walką religijną, jakby to wynikało z opisu p. Giertycha, lecz walką polityczną z pewnym, raczej pozornym niż istotnym, zabarwieniem religijnym i aprobata, udzielona powstańcom przez Episkopat charakteru tego nie zmienia.

Teza, jakoby brygady ochotników Requete „bohaterstwem swoim i poświęceniem rozstrzygnęły o zwycięstwie powstańców", to dalszy argument na rzecz „katolickości" powstania. Ale Requete, to nie była Sodalicja Mariańska, to było ugrupowanie polityczne. Nie mam zamiaru umniejszać dzielności, jaką wykazali ci karliści, ale wydaje mi się, że przypisywanie im roli rozstrzygającej jest przesadą. W zdobyciu Nawarry, owszem. Na południu jednak o losie powstania w jego pierwszej, a więc najtrudniejszej fazie zaważyły sprowadzone przez gen. Franco z Marokka oddziały arabskie, które z obroną wiary katolickiej nie miały nic wspólnego. W fazach następnych przewaga powstańców pochodziła głównie stąd, że ich wojsko miało charakter zdyscyplinowanej, regularnej armii, prowadzonej przez oficerów zawodowych, podczas gdy wojska republikańskie zasługiwały na miano jakiegoś pospolitego ruszenia. Wreszcie rolę naprawdę wielką odegrała interwencja korpusów włoskiego i niemieckiego, których także nie można uważać za hufce rycerzy krzyżowych.

Jak więc widzimy, opinie p. Giertycha opierają się już nie na fałszywej interpretacji, lecz na niedopuszczalnym przekształcaniu faktów. W takich warunkach nie mogę mieć pretensji, gdy pomawia mię o insynuację, napastliwość, tendencyjność, zaciekłość i naiwność. Natomiast trwogą, przygnębieniem i współczuciem napawa mnie ton, z jakim p. Giertych oświadcza: „Tak się składa, że Hiszpanię znam."

Ale idźmy dalej. P. Giertych pisze: „Dzisiejsza dyktatura hiszpańska jest dyktaturą katolicką". Co to znaczy „dyktatura katolicka"? Czy można nazwać katolickim reżym, u którego podstaw znajdujemy złamanie przysięgi, złożonej kiedyś na wierność republice przez generała Franco i inne osobistości z jego otoczenia? Czy można nazwać katolickim rząd, który w swym postępowaniu publicznym depcze zasady etyki chrześcijańskiej, skazując na śmierć i więzienie ludzi niewinnych, mających na swoim sumieniu tylko to, że należeli do legalnych partii politycznych na dwa lata przed wybuchem powstania, albo to, że z bronią w ręku bronili legalnej konstytucji i prawa przeciw rebeliantom, albo to, że ktoś rzucił na nich podejrzenie o sympatie pro-republikańskie? Czy zasługuje na miano katolika dyktator, który w swych przemówieniach posługuje się systematycznie nie podlegającymi żadnej dyskusji kłamstwami? Czy wolno nazwać katolickim szefa państwa, który rozprawia o walce dla Sprawy Chrystusowej, a jednocześnie zapewnia Hitlera o swej wierności dla „wspólnej sprawy" i te zapewnienia popiera konkretną akcją? Czy można nazwać katolickim taki ustrój gospodarczo-społeczny, który faworyzuje kapitalistów, feodałów i spekulantów „czarnego rynku" kosztem mas robotniczych? Katolicyzm dyktatury hiszpańskiej polega tylko na deklamacji, na oznakach zewnętrznych i na przyznaniu Kościołowi przywilejów materialnych, administracyjnych i politycznych, które wymieniłem w poprzednim artykule. Szafowanie przez p. Giertycha przymiotnikiem „katolicki" dla celów politycznych i to celów nieczystych, przywodzi na myśl przykazanie „nie wzywaj Imienia Pana Boga Twego nadaremno".

Napisałem w tym artykule, że Hiszpania przeżywa kryzys religijny i przytoczyłem szereg symptomów. P. Giertych twierdzi: „To nieprawda, że Hiszpania przeżywa dziś kryzys religijny" — ale potem zaprzecza sam sobie, mówiąc: „Hiszpania o tyle przeżywa kryzys religijny, o ile go odziedziczyła po republice i liberalnej monarchii". A więc jest ten kryzys, czy go nie ma? Chyba tak, skoro zdanie drugie zjawiło się w tekście po pierwszym i skoro w innym miejscu przyznaje p. Giertych, że w Hiszpanii istnieje zjawisko dechrystianizacji proletariatu. Tylko że nieco dalej podważa p. Giertych i to drugie zdanie, bo pisząc o sytuacji wśród kleru baskijskiego, powiada: „Kryzys ten nie zarysował się bynajmniej teraz, ale trwa od czasów rewolucji i wojny domowej". Powtarzam słowa p. Giertycha: „od czasu rewolucji i wojny domowej" — a więc coś więcej, niż „spadek po republice i liberalnej monarchii", rzecz nowsza, następstwo zbrojnego wystąpienia gen. Franco!

Przypuszczam po omacku, że p. Giertychowi chodziło przede wszystkim o powiedzenie, iż rządy obecne przyczyniają się do odrodzenia religijności w narodzie. Tylko że rezultaty mają objawić się... za kilka pokoleń. Ja, na podstawie objawów widocznych już dzisiaj, uważam, że kryzys przybiera szersze rozmiary, niż za czasów republiki i monarchii, argumentów zaś przytoczyłem dość i nie mam zamiaru ich powtarzać.

Jeden z tych argumentów został przez p. Giertycha zakwestionowany. Chodzi o pismo „Egiz", wydawane tajnie przez księży baskijskich. P. Giertych nie zna tego pisma, nie miał w ręku ani jednego egzemplarza, ale dla swych celów polemicznych pisze na oślep, że ci księża to separatyści, obrzuca ich mianem „księży-patriotów", a mnie, który o separatyzmie baskijskim nie napisałem ani słowa, posądza o to, czego sam się dopuszcza a mianowicie o mieszanie punktu widzenia katolickiego z punktem widzenia politycznym. Ale czy sprawę pisma „Egiz" da się rzeczywiście sprowadzić do zagadnienia politycznego? Ano, zaraz zobaczymy.

Zacznijmy od a. b. c. Co to jest separatyzm baskijski? Separatyzm baskijski jest to ruch polityczny zmierzający do uzyskania dla kraju Basków autonomii kulturalnej, administracyjnej, gospodarczej, a nawet politycznej. Czy pismo „Egiz" głosi te hasła? Nie, pismo „Egiz" tych haseł nie głosi. Czy pomimo to „Egiz" ma charakter pisma baskijskiego? Tak, bo księża, którzy je redagują, są Baskami, bo wychodzi na terenie kraju Basków, bo zajmuje się sprawami diecezji baskijskich, bo część — zresztą drobna część — artykułów zredagowana jest w języku baskijskim. Czy pismo „Egiz" ma charakter wyłącznie baskijski? Nie, bo zajmuje się również wydarzeniami z terenu innych prowincji Hiszpanii, bo zamieszcza artykuły na tematy ogólne, teoretyczne, bo część egzemplarzy rozchodzi się na żądanie poza kraj Basków. Czy „Egiz" jest pismem politycznym? Nie, „Egiz" jest pismem religijnym, samo z żadnymi inicjatywami politycznymi nie występuje, a tylko oświetla różne wydarzenia polityczne z religijnego punktu widzenia, co w oczach reżymu gen. Franco uchodzi za robotę wywrotową, a co w wielu wypadkach pokrywa się rzeczywiście z interesami separatystów baskijskich. Czy takie właśnie wystąpienia pisma „Egiz", które są źle widziane przez władze reżymowe a mile widziane przez separatystów, zachowują charakter wystąpień religijnych? Tak, oto przykłady: pismo „Egiz" domaga się na podstawie Prawa Kanonicznego, aby księża baskijscy, których w czasie wojny rozstrzelali bez sądu rebelianci, mogli spocząć na cmentarzu w poświęconej ziemi: pismo „Egiz" domaga się, by nabożeństwa żałobne w rocznice zakończenia wojny i w dzień Zaduszek odprawiane były nie tylko za poległych z armii gen. Franco, ale za wszystkich poległych: pismo „Egiz" domaga się, by rodzice mieli prawo nadawać dzieciom przy chrzcie imiona baskijskie i aby nie zmuszano ich do nadawania imion hiszpańskich: pismo „Egiz" domaga się, by uszanowano cmentarze i nie zacierano na grobach dawnych napisów baskijskich. Poza tym w oparciu o encyklikę „Rerum Novarum" pismo „Egiz" krytykuje politykę społeczną obecnego reżymu, potępia nadużycia urzędów, spekulacje i tp.

Wątpię, czy z tego tytułu można księży baskijskich z redakcji „Egiz" oskarżać o wykraczanie poza obowiązki kapłańskie, ale cóż powiedzieć o tych księżach, przeciwko którym te żądania są skierowane? Jeśli na przykład odmawiają nadawania dzieciom imion baskijskich wbrew życzeniom rodziców, to czy kierują się nakazami religii, czy nakazami polityki dyktowanej przez reżym?

A oto jeszcze jeden przykład. Na Kongresie Eucharystycznym w Budapeszcie w r. 1938 Baskowie chcieli śpiewać swe pieśni kościelne. Prymas Hiszpanii, ks. Goma, zagroził wtedy, że natychmiast opuści Budapeszt, jeśli usłyszy język baskijski na Kongresie i — Baskowie ustąpili. A przecież Kościół pozwala modlić się we wszystkich językach. Przecież we Francji Baskowie modlą się swobodnie w swej mowie, choć prawie wszyscy znają język francuski. Czy więc prymas Hiszpanii kierował się w swym proteście względami religijnymi, czy raczej występował jako polityk, zwolennik zalecanej przez gen. Franco akcji wynaradawiania Basków?

Nie wypowiadam się tutaj na temat samego separatyzmu baskijskiego. Chodzi mi tylko o niezdrowy spór, jaki zarysował się na jego tle wśród samego kleru. Odpowiedzialność za ten spór ponosi w dużej mierze obecny reżym. Rząd republikański w Madrycie zwalczał również separatystów baskijskich (autonomię przyznano im „w ostatniej chwili", dopiero w sierpniu 1936), ale do tej akcji politycznej nie zaprzęgał Kościoła, Baskowie zaś ze swej strony nie przyjmowali księży do swych stronnictw separatystycznych, choć te stronnictwa miały charakter ugrupowań chrześcijańsko-demokratycznych.

Napisałem, że kraj Basków to jedyny, prawdziwy bastion katolicyzmu w Hiszpanii. P. Giertych replikuje na to: „Są tacy, co twierdzą, że jedyną, prawdziwą grupą katolicką w Polsce są „księża-patrioci".

Nie będę analizował tego porównania, bo mimo najszczerszych chęci nie mogę się w nim dopatrzyć sensu, zacytuję tylko dziennikarza katolickiego, Jean Lorraine, wcale nie nastrojonego krytycznie do gen. Franco. Objechał on całą Hiszpanię w celu zapoznania się z sytuacją Kościoła w tym kraju i na podstawie własnych obserwacji oraz informacji otrzymanych „z pierwszej ręki" od oficjalnych czynników kościelnych pisze w dzienniku „La Liberté" we Fryburgu:

„Kraj Basków jest, jak wiadomo, bardzo wierzący. Ale mówiono mi, że proporcja praktykujących nie przekracza 60%... Barcelona, miasto przemysłowe o półtoramilionowej ludności, liczy mniej niż 10% praktykujących. W niektórych parafiach Madrytu, na przedmieściach północnych, nie dochodzi się nawet do tej cyfry... Diecezja San Sebastian (kraj Basków) jest w Hiszpanii diecezją najbogatszą w powołania kapłańskie, bo na 300.000 mieszkańców liczy 800 księży... Kler baskijski jest w Kościele hiszpańskim najwyżej wykształconym... Biskaje są dumne z wioski Ceanuri, która posiada rekord światowy co do ilości pochodzących z niej księży. Na 2.500 mieszkańców było w 1950 roku 290 księży i zakonników, a w r. 1951 liczba ich przekroczyła 300. Niektóre rodziny mają wśród swych członków po 5 i 6 duchownych".

Nie potrzebuję dodawać, że w czasie wojny domowej kraj Basków był jedyną po stronie republikańskiej prowincją, gdzie ludność umiała obronić swe kościoły i swych księży przed napaściami band ulicznych i komunistycznych bojówek.

Na deser — rodzynek. P. Giertych pisze, że powtarzam „formułki zaczerpnięte bezpośrednio lub pośrednio, ze źródeł propagandowych anglosaskiej masonerii". Proszę zauważyć, że co do samego źródła mej dokumentacji p. Giertych nie ma żadnych wahań, niepewność jego dotyczy tylko kwestii: bezpośrednio czy pośrednio? A więc wyjawię mu tajemnicę: bezpośrednio. Wszystkie informacje przyniósł mi osobiście w fartuszku i podał na kielni sam Mistrz Wielkiej Loży, taki trzydziestego trzeciego stopnia!

W tym samym numerze ŻYCIA przeczytałem artykuł p. Michała Poradowskiego „Odrodzona Hiszpania". W przeciwieństwie do listu p. Giertycha artykuł ten odznacza się szlachetnością tonu. Inna rzecz, że budzi poważne zastrzeżenia. Pragnę zwrócić uwagę przynajmniej na jedną sprawę. P. Poradowski godzi się z faktem istnienia cenzury prasowej w Hiszpanii i uważa, że nie wyrządza ona szkody katolicyzmowi. Przede wszystkim muszę dokonać małego uzupełnienia: prasa w Hiszpanii nie tylko podlega cenzurze, ale jest kierowana przez państwo, np. wszystkich redaktorów naczelnych mianują władze państwowe. Czy to godzi w interesy Kościoła? Chyba tak, skoro ofiarą cenzury padła w całości Encyklika Ojca św. z r. 1943 potępiająca nazizm, a częściowo przemówienie Ojca św. do dziennikarzy z roku ubiegłego oraz przedostatni list pasterski kardynała Segury, arcybiskupa Sewilli. Władze państwowe zamknęły także pismo „Tu", które było organem Bractw Robotniczych Akcji Katolickiej i mimo nalegań Episkopatu nie dopuściły do uruchomienia dziennika, który byłby oficjalnym organem Kościoła. Cieszący się renomą światową dziennik „El Debate", redagowany przez obecnego biskupa Malagi, ks. Herera, mógł wychodzić za czasów republiki, a po wojnie już go nie wznowiono. Poza tajnym pismem księży baskijskich „Egiz" istnieje tajne pismo „Verdad" wydawane przez księży madryckich. Nie wiem też, jak pogodzić system prasy kierowanej i cenzurowanej z oświadczeniem Ojca św.: „Tłumienie głosu obywateli, redukowanie go do przymusowego milczenia jest w oczach każdego chrześcijanina zamachem na prawo naturalne człowieka, pogwałceniem takiego porządku na świecie, jaki ustanowiony został przez Boga. Na skutek tego, od chwili, gdy rzekoma opinia publiczna jest dyktowana lub narzucona siłą, wytwarza się atmosfera niezdrowa, ciężka i fikcyjna, a tam, gdzie opinia publiczna przestaje funkcjonować swobodnie, tam gdzie prawo do wyrażania opinii mają tylko partie pozostające przy władzy, wewnętrzny pokój narodów wystawiony jest na niebezpieczeństwo". (Tłumaczę z tekstu francuskiego, więc za absolutną ścisłość przekładu nie odpowiadam).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Jan Winczakiewicz
(Paryż)

KOŚCIÓŁ

A IDEOLOGIE POLITYCZNE

W związku z szeregiem artykułów, jakie ukazały się ostatnio na łamach ŻYCIA, pozwalam sobie na poczynienie następujących uwag:

1. Nie jest rzeczą ścisłą określanie jakiegoś rządu czy formacji politycznej mianem „katolicki". Najwyżej można określić skład wyznaniowy oraz ideologię czy politykę w zależności od ustosunkowania się do nauki i organizacji Kościoła.

2. Kościół poczynił wiele gorzkich doświadczeń z nadużywaniem jego autorytetu dla celów klasowych, ekonomicznych czy politycznych. Jeżeli Kościół stracił w poważnym stopniu masy robotnicze oraz ma trudności na terenie wyzwalających się ludów kolorowych, jest to w dużej części wynik nadużywania Kościoła dla doraźnych celów.

3. Kościół jest w pierwszej linii zainteresowany posiadaniem swobody nauczania, praktyk religijnych i kompletnej niezawisłości. I tu należy podkreślić — niezawisłości od przyjaciół.

4. Kościół jest wielkością odmiennego wymiaru i nie może być identyfikowany z jakąś określoną grupą interesów czy formacją ideologiczną. Kościół nie ma i nie może mieć oficjalnej doktryny gospodarczej, społecznej lub politycznej. Kościół daje natomiast zalecenia jako konsekwencje nauk moralnych.

Walka Kościoła z komunizmem jest rezultatem odmiennych podstaw filozoficznych i moralnych, nie zaś wynikiem poglądów ekonomicznych lub politycznych.

Kościół zawsze potrafił i potrafi dostosować się i znaleźć właściwą pozycję w każdym systemie, zapewniającym Kościołowi niezawisłość i swobodę nauczania.

Silniejsze zaznaczanie i podkreślanie naprowadzonych zasad na łamach prasy katolickiej ułatwi zrozumienie stanowiska Kościoła, przyczyni się do uniknięcia rozczarowań i nieporozumień. Przez zrozumienie stanowiska Kościoła ułatwimy Kościołowi pracę.

Łączę pozdrowienia i wyrazy poważania.

Dr R. K. CHRZĄSZCZ JOHNS
(Geodetic Survey of Canada, Ottawa)

O ARTYKUŁACH ZYGMUNTA TURKIEWICZA

Czytając artykuły Zygmunta Turkiewicza mam wrażenie, że stoję przed pięknym obrazem, świeżym, o gorących tonach, jak kwitnący sad!

Wiele się pisze na temat sztuki, lecz Turkiewicz ma tyle szczerości i powiedziałbym „muzykalności" w swych wypowiedziach, że czyta się go z prawdziwą satysfakcją.

W ostatnim artykule (ŻYCIE nr 28/264) „Sztuka awangardowa i witraże", obok prawdziwego znawstwa przedmiotu, nawiązuje tak słusznie do roli, jaką odegrał Kościół (ta pra-Matka nauki i sztuki) w życiu sztuki.

Oczekuję z nadzieją, że kolejne numery ŻYCIA przyniosą dalsze artykuły pióra Turkiewicza.

Łączę wyrazy szacunku,

T. ILNICKI

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

TELEWIZJA POPRZEZ KANAŁ LA MANCHE

Od szeregu miesięcy technicy biedzili się nad usunięciem rozlicznych przeszkód, jakie stały w drodze transmitowaniu obrazów telewizyjnych z Francji do Wielkiej Brytanii. Po szczęśliwym pokonaniu tych przeszkód zorganizowany został w dniach 8—14 lipca tytułem próby „Francusko-Brytyjski Tydzień Telewizyjny", którego partnerami byli: „Radiodiffusion et Télévision Françaises" oraz „BBC Television Service".

Posiadacze ekranów telewizyjnych po tej stronie Kanału mieli sposobność oglądania siedemnastu programów nadawanych z Paryża. Recenzje jednak w prasie brytyjskiej są dosyć kwaśne. Maurice Wegg pisze w „Sunday Times", że obrazy francuskie były często „niezwykle nudne"; za dobre uważa jedynie obrazy z paryskiego Luwru. Recenzentka „Observera" p. Lejeune uważa, że większa część programów z Francji nie warta była w ogóle oglądania ani słuchania, i uskarża się na techniczną niedoskonałość transmisji. Często nadchodziły tylko dźwięki bez obrazu, innym razem znów obraz bez dźwięku; obrazy drgały, wirowały, pękały i bladły. Sypało się usprawiedliwienie za usprawiedliwieniem w obu językach, francuskim i angielskim.

Krytyki te niewątpliwie są uzasadnione, ale czy w obecnym, próbnym stadium wymiany obrazów telewizyjnych między obu krajami można było oczekiwać lepszych wyników?

POSŁOWIE UPOMINAJĄ SIĘ O PODWYŻKĘ PŁAC

Członkowie Izby Gmin pobierają jako roczną gażę tysiąc funtów. Wysokość tej gaży do tej pory kwestionowana nie była, ostatnio jednak p. Beverley Baxter, torysowski M.P. z Southgate, wystąpił z artykułem, wywodzącym, że kwota ta nie jest wystarczająca dla zapewnienia sobie przez posłów warunków, niezbędnych dla sprawowania ich funkcyj.

Istotnie wydatki M.P.-sów są znaczne; sama obszerna korespondencja, jaką muszą prowadzić, wymaga utrzymania sekretarzy czy sekretarek. Dużo wydatków pochłaniają też pobyty w Londynie, rozjazdy itd.

Mimo to inicjatywa p. Baxtera (z którą zresztą zsolidaryzowali się niektórzy posłowie socjalistyczni) spotkała się z surową krytyką na łamach „Evening Standard" — tego samego dziennika, który ogłosił wspomniany artykuł Baxtera. „Evening Standard" zapytuje, jaka część tej gaży poselskiej jest wolna od podatków na tej zasadzie, że pokrywa niezbędne wydatki M.P.-sów? „Niektórzy mówią, że chodzi tu o 600 funtów czy nawet więcej. P. Baxter opisał trudności posła Blanka, młodego jeszcze człowieka z żoną i dwojgiem dzieci. Jeśli jednak inspektor podatkowy zaliczy 600 funtów z gaży p. Blanka na konto jego wydatków, to p. Blank nie płaci w ogóle żadnego podatku. Gdyby nawet zarabiał ponad to 100 funtów rocznie przez pisanie od czasu do czasu artykułu do jakiegoś pisma, to płaciłby podatek nie wyższy niż £1.6.8. Tak więc, jak się zdaje, ci M.P.-si zażywają poważnych ulg, których pozbawieni są ich współrodacy... Póki publiczność nie będzie wiedziała, jakie pozycje uznawane są za „wydatki", nie może ona orzec, czy gaża członków Parlamentu jest za wysoka, czy też za niska lub słuszna w sam raz".

Tyle „Evening Standard". Jak się zdaje jednak, opinia, że posłowie są „underpaid" gdy się weźmie pod uwagę ich rozliczne zajęcia i wydatki, jest dosyć silna w społeczeństwie brytyjskim.

BALET NOWOJORSKI W LONDYNIE

W teatrze Covent Garden występuje obecnie balet miejski Nowego Jorku (New York City Ballet). Spotkał się on z przychylnym na ogół przyjęciem krytyki, choć niektórzy recenzenci zarzucają mu „staroświeckość" w ruchach tancerzy.

Michał K. Pawlikowski

Sumienie Polski

Rzecz o Wilnie i kraju wileńskim

Zdjęcia Jan Bułhaka.

Cena 1/6 z przesyłką 2/-

Wysyła:

VERITAS FOUNDATION PUBLIC. CENTRE, 12, Praed Mews, London W.2

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 13 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowska, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seebamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 fr. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6a. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: kwartalnie poczta zwykłą 3$, poczta lotnicza 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 19th Street, Bayonne, N.J. 2) Cyryl Pasternak, 2600, Wagner St. Utica, 3) B. Bagiński, 4020, Helen Avenue, Detroit 7. Michigan, 4) St. Palemowski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734